z miłości do miasta

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | X 2017 - III 2018 | NR 3

na WINNICY

ISSN 2544–8880

Nowy zwyczaj – II Zielonogórski Polonez Maturzystów „Studniówka pod chmurką”

W samo południe 1 lutego ponad 800 maturzystów ze wszystkich zielonogórskich szkół ponadgimnazjalnych spotkało się na Starym Rynku. Najpierw w barwnym korowodzie uczniowie przeszli staromiejskimi uliczkami, później odtańczyli poloneza przed ratuszem. Prowadzący taniec byli przebrani w stroje z okresu Księstwa Warszawskiego, a maturzystów poszczególnych szkół odróżniały balony w odmiennych kolorach. Organizatorem wydarzenia był Zespół Szkół Ekonomicznych.

fot. Alicja Błażyńska, Bogumła Hyla-Dąbek

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Stelmet Enea BC

fot. Tomasz Gawałkiewicz

W NUMERZE:

Wokół ratusza
Stelmet Enea BC 2
Od redakcji
Tutejsi tożsami 3
U nas
Kiedy powstało nasze miasto? 4-6
Tutejsi
Trzy pytania do... 7
Emma może wrócić 7
Zielonogórska Nagroda Literacka
Gala z Winiarką w tle 8-9
Konkurs na utwór o Zielonej Górze
Ballada o zielonogórskiej narciarce i redaktorze Haczku z „Gazety Lubuskiej" 10
Ławeczka zielonogórska, Turniej konwaliowy 11
*** (nieważne, czy idę Lisią) 11
Mężczyzna z zajęczą wargą 12-13
Recenzja
W poszukiwaniu gorzkiej kości 14
Dobre duchy przybywajcie także do Gorzowa 15
Prosto z miasta
4 Róż dla Lucienne już nie ma 16-17
Głos pomysłodawcy 17
Przygoda z muzyką 18-19
Zaczęło się w Gębie 20
Nad Złotą Łączą
Galeria była fanaberią 21
Grünberski wydawca pocztówek 22-23
Z dala od centrum
Krępa – papiernicze dobro miasta 24
Adresy
Jedności 78-80 25
Wspomnienia
Pierwszy biskup 26
Potomkowie Greka Zorby 27
Z biblioteki do biblioteki 28-29
Do redakcji
Wysokiej klasy humanista 30
Listy do redakcji 30
Ponad słowami
Kościoły nierzymskokatolickie 31
Gdzie indziej
Nelly i pozostali to dzieło Towarzystwa Miłośników Gorzowa 32

Tutejsi tożsami

Jeszcze nie było ustawy o dekomunizacji, a już Jurij Gagarin przestał patronować pierwszej uczelni technicznej w Zielonej Górze. Mam na myśli ten dzień, kiedy Wyższa Szkoła Inżynierska stała się Politechniką Zielonogórską. Tadeusz Kotarbiński stracił pieczę nad Wyższą Szkołą Pedagogiczną w chwili utworzenia Uniwersytetu Zielonogórskiego. Kiedy Leon Kruczkowski przestał być patronem Lubuskiego Teatru, nie wiem. Oficjalnego odwołania nie widziałem, ale pewnie było unieważniające decyzję z 18 grudnia 1964 r.

Upamiętnianie zielonogórzan zaczęło się w 1961 r., kiedy Klementowscy zostali patronami ulicy na osiedlu Wazów (Jan Klementowski był pierwszym starostą zielonogórskim, obwinionym i oskarżonym przez władze zaraz po zjednoczeniu ówczesnych partii). 13 lat później patronem ulicy został Stanisław Cynarski, w zmarły w 1970 r. aktor Lubuskiego Teatru. Po 1989 r. worek się rozsupłał. Biskup Wilhelm Pluta dostał pod nadzór plac wokół konkatedry, ks. Edwarda Grudzieckiego radni powołali na opiekuna ronda pomiędzy Raculą i Starym Kisielinem, ks. Kazimierz Michalski został patronem ulicy przecinającej ogrody działkowe niedaleko rezydencji biskupiej. Stamtąd blisko na ul. Jerzego Waszczyka, byłego dyrektora technikum budowlanego. Patronami ulic są m.in. chirurg dr Pieniężny w centrum miasta, winiarz Grzegorz Zarugiewicz na Winnym Wzgórzu, wykładowca politechniki prof. Zygmunt Szafran w kampusie uniwersyteckim. Zielonogórzanie jednak są najczęściej patronami rond: chirurg dr Albin Bandurski, historyk prof. Marian Eckert, malarz Klem Felchnerowski, dziennikarz i urbanista dr Tomasz Florkowski, pilot ppłk Edward Jaworski, pisarz dr Michał Kaziów, aktorka Halina Lubicz, wykładowca i wynalazca doc. dr Henryk Maćkowiak, kompozytor dr Roman Mazurkiewicz. Poetka Anna Tokarska patronuje festiwalowi Proza Poetów, skrzypek Stanisław Hajzer – konkursowi Bachowskiemu, śpiewak Ludwik Figas – Lubuskiemu Zespołowi Pieśni i Tańca.. W bibliotece Norwida są sale dr. Grzegorza Chmielewskiego, Andrzeja K. Waśkiewicza i Janusza Koniusza. Patronem auli w kampusie uniwersyteckim jest prof. Kazimierz Bartkiewicz. Dr Kaziów ma pieczę nad studiem w radiu Zachód. Zielonogórskie środowisko literackie przyznaje Nagrodę im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Nad Wojewódzkim Ośrodkiem Sportu i Turystyki na Drzonkowie czuwa jego twórca Zbigniew Majewski. Czy nadal patronem dawnego Domu Kombatanta jest Jan Lembas? Na to pytanie otrzymałem dwie odpowiedzi (tak i nie). Na deptaku przed Muzeum Ziemi Lubuskiej znajduje się galeria mosiężnych płyt z wyrytymi nazwiskami znanych zielonogórzan, m.in. dziennikarza Zdzisława Olasa, archeologa Edwarda Dąbrowskiego. W biurze Rady Miasta leży długa lista nazwisk osób, sporządzona przez historyków, literatów i dziennikarzy, które zasługują na to, żeby ich nazwiska i czyny zostały na zawsze w historii miasta.

To wszystko znaczy, że już utożsamiamy się z tą ziemią.

Alfred Siatecki

ISSN 2544–8880

naWINNICY

Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37
e-mail tmzg-winnica@o2.pl
www.tmzg.org.pl

Redagują: Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźnak, **Alfred Siatecki – redaktor naczelny**
Skład i łamanie: Emilia Ćwilińska
Projekt winiety: Wacław Serdeczny
Numer zamknięto 20 lutego 2018 r.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Daniel Jung

Kiedy powstało nasze miasto?

W 1922 r. grünberczycy świętowali 700-lecie. Czy sto lat po tamtym wydarzeniu w 2022 r. zielonogórzanie powinni również uroczyście obchodzić jubileusz miasta?

23 marca 1906 r. w dzienniku „Niederschlesisches Tageblatt" ukazał się tekst tej treści: „Przed około 1000 lat Śląsk znajdował się pod polską władzą. My grünberczycy przypominamy sobie z tamtych czasów pewien kamień leżący na tak zwanej Ceglanej Górze, na którym widnieje napis »Zielona gora, der grüne Berg«. Temu wzgórzu właśnie miasto zawdzięcza swoją nazwę – Zielenberg". W 1841 r. pastor Otto Wolff wydał pierwszą swoją książkę dotyczącą przeszłości miasta. W niej odnosi się do nazwy. Jego zdaniem nastąpiło fonetyczne przesunięcie samogłosek. Zielenberg, co w niemieckim niczego nie oznacza, zostało zastąpione wyrazem Ziegelberg, czyli Ceglana Góra.

Pierwsi byli osadnicy

Są dowody na to, że wspomniana jako Zielenberg osada o charakterze rolniczym istniała nie na górze, a u jej podnóża, bliżej potoku Złota Łącza, skąd mieszkańcy czerpali wodę. Jest to rejon między ulicą Kupiecką i placem Matejki. Archeolodzy wskazali miejsce, gdzie stał kościół Świętego Jana, który pierwszy raz spalił się w 1582 r., odbudowany w 1652, znowu spłonął. Za kościołem był cmentarz Gottes Acker. Jedyną pamiątką po tamtych czasach jest fragment murów pozostałych przy ulicy Podgórnej.

Niemiecka nazwa Grünberg może wywodzić się z polskiego określenia osady rolniczej Zielona Góra. Możliwe jest i to, że niemiecka nazwa pochodzi od rodu Grünbergów. Piastowski władca dzielnicy obejmującej Śląsk i Ziemię Lubuską, Henryk Brodaty, ożeniony z Jadwigą, późniejszą świętą Kościoła katolickiego, księżniczką wywodzącą się z Bawarii, prowadził akcję kolonizacyjną. Już jego ojciec Bolesław Wysoki uznał to za ważny sposób zagospodarowania dotąd mocno zalesionego terytorium. Wspomniany pastor Wolff w kolejnej swojej książce o mieście, wydanej w 1848 r., podaje, że w czasach księcia Brodatego członek rodu Grünbergów uzyskał przywilej założenia miasta i sprowadzenia osadników. Za namową dworu śląskiego, a może nawet samej księżnej Jadwigi, sprowadził kolonizatorów z południowych Niemiec, z Frankonii, słynącej z uprawy winorośli i sukiennictwa. Tą hipotezą Wolff wyjaśniał, dlaczego mieszkańcy miasta zajmowali się produkcją wina i sukna.

Część historyków uważa, że Henrykowie Brodaty i Pobożny kontynuowali kolonizację zapoczątkowaną przez swoich poprzedników na tronie śląskim. Że poszli tropem króla Węgrów Gejzy II, który mieszkańcom przeludnionych terenów nad górnym Renem dał możliwość osiedlenia się w Siedmiogrodzie. Według tej hipotezy pierwsi koloniści napłynęli na ziemię śląską w połowie XII wieku. Była to niezwykle ruchliwa ludność walońska i flamandzka, której jedna część znała zasady uprawy winorośli, drugiej nieobca była sztuka tkacka. Czy tak było, tego pewnie nigdy się nie dowiemy. Nie sądzę, żeby gdzieś zachował się jakikolwiek dowód na to, kiedy posadzono pierwszy krzew winorośli i czy na pewno zrobił to przybysz znad górnego Renu.

W 1217 r. na prośbę swojej żony Jadwigi Henryk Brodaty ufundował klasztor augustianów w Nowogrodzie Bobrzańskim. W rzeczywistości chodziło o kanoników regularnych żyjących według reguły świętego Augustyna. W 1278 r. zostało wydzielone księstwo żagańskie. Pierwszym władcą został Przemko, najmłodszy syna Konrada I, księcia głogowskiego. Nie wiadomo, czy za namową Przemka, czy kogoś z zarządu klasztoru, w 1284 r. augustianie postanowili, że ich siedziba będzie w książęcym Żaganiu. Zanim to się stało, dość szeroko rozwinęli swoją działalność duszpasterską. Do sprawowania mszy było im potrzebne wino, a że klimat okolic położonego na wzgórzach Grünberga był łaskawy, przekonali mieszkańców do uprawy winnych latorośli i produkcji wina. Związana z zakonnikami wersja dotycząca początków zielonogórskiego winiarstwa jest prawdopodobna.

Brak zgody badaczy

W najstarszych dokumentach jest mowa o miejscowościach Gruninberg i Grunenberg. W akcie z 5 marca 1302 r. zostało użyte „in territorio Grunenbergensi". W dokumencie z 1310 r. jest mowa o „civitas Gruninbergensi". Niemiecki autor monografii miasta, Hugo Schmidt, zapewnia, że widział czternastowieczną mapę dystryktów w księstwie głogowskim, gdzie występuje „Grunenberg". Wśród miast przyjętych w 1329 r. w lenno przez Henryka Wiernego od Jana Luksemburskiego, króla Czech i Polski, znajdował się „Grunemberch". W brewe papieża Grzegorza XI z 1376 r. jest mowa o „parochalis Grunicberge et Silesiae". Książę Henryk VIII Wróbel tytułował się „princeps Grunebergensi".

Wolff podaje, że w miejscu osady rolniczej Zielona Góra powstało miasto Grünberg. Zdaniem Schmidta osada znajdowała się po południowo-wschodniej stronie Złotej Łączy, gród o charakterze targowym, rozsiadł się na zachodnim brzegu rzeki. Według tego ostatniego autora hipoteza, iż miasto wzięło swoją nazwę od rodu Grünbergów to bardziej legenda niż prawda. Może jednak miasto lokacyjne wzięło swoją nazwę od osady Zielona Góra. Schmidt zapewnia, że widział dowody urzędowe z nazwą brzmiącą po polsku. W 1641 r. król Władysław IV Waza wystawił dokument dla kupców z Zielonej Gory. W 1887 r. warszawski tygodnik „Bluszcz" opublikował artykuł „Winobranie w Zielonogórze na Szlązku".

Kiedy została założona Zielona Góra? Wolff podał, że w 1222 r. Prawdopodobnie powtórzył to po Johannie Johnie, który w swojej kronice wydanej w 1816 r. zaznaczył, że „pierwsi Niemcy przybyli na te tereny dopiero po 1163 roku". Ten dziejopis stwierdził, że „większość kronik jako rok powstania miasta podaje 1222, inne z kolei 1321". John mógł znać kronikę pastora Johannesa Nippego z pierwszej połowy XVII stulecia, która była bardziej opisem przekazów historycznych i relacji niż zbiorem dokumentów. Podobnie w 1900 r. postąpił kolejny autor kroniki miasta August Förster.

Najobszerniejszą dotąd monografię Zielonej Góry napisał Hugo Schmidt. Książka liczy 1119 stron. Dodał do niej aneks

w postaci omówienia 950 dokumentów z historii miasta w latach 1302-1740. Pisząc ją, pełnymi garściami czerpał z kroniki Samuela Reichego, pochodzącej z przełomu XVIII i XIX stulecia, odkrytej dopiero w 1902 r. Najbardziej przydatna okazała się praca pierwszego kronikarza pastora Nippego, zapoczątkowana wpisami w 1609 r. i prowadzona aż do śmierci autora w 1653. Dzieło Förstera z 1900 r. było najbliższe temu, co napisał Schmidt, ale i zawierało wiele przypuszczeń.

Zdaniem Schmidta miasto istniało przed 5 marca 1302 r. Potwierdzenie tego znajduje się w dokumencie, z którego dowiadujemy się o darowiźnie księcia Henryka III Głogowskiego wsi Jędrzychów jako leżącej „in territorio Grunenbergensi" i dokumentu młodszego o osiem lat, wspominającego o mieszczanach. Może to oznaczać, że na początku XIV stulecia Grünberg był ośrodkiem administracyjno-sądowym, ustanowionym na mocy prawa saskiego lub magdeburskiego.

Władysław Korcz, powołując się na twierdzenia znanych sobie historyków, wysunął tezę, że Zielona Góra mogła otrzymać prawa miejskie w latach 1265-1270, w 1315 lub w 1323 r. Sugeruje, że ten ostatni rok jest najbliższy prawdy. Korcz wziął pod uwagę to, że Henryk Brodaty w 1253 r. nadał Głogowowi prawo magdeburskie, a już było to miasto ukształtowane przestrzennie. Można przyjąć, że identyczna jurysdykcja dotyczyła i innych ośrodków leżących w księstwie głogowskim, na przykład Krosna, Żagania, Kożuchowa. Wtedy istniała zasada, że miasta powinny być oddalone od siebie o dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. I jeszcze jeden dowód, może najmniej przekonujący, że miasto powstało w XIII stuleciu. Jest nim archaiczny kształt rynku: wydłużony, otoczony domami.

Z tego wypływa następujący wniosek. Ze względu na brak dokumentów potwierdzających konkretną datę nadania praw miejskich, nie należy odrzucać 1222 r. jako tego, kiedy położona nad Złotą Łączą osada stała się miastem. Nie należy też mieć pewności co do 1323 r. jako tego, w którym Grünberg otrzymał lokację na prawie niemieckim.

Z badań Ottona Dobrindta w okolicach Wojnowa wynika, że ludzie byli tam około 8300 r. przed naszą erą. A to zaledwie trzydzieści kilometrów od Zielonej Góry na wschód. Podczas prac wykopaliskowych w okolicy Kargowej natrafiono na fragmenty przedmiotów, którymi posługiwali się łowcy reniferów. Można więc przyjąć, że noga pierwszego człowieka stanęła na wzgórzach zielonogórskich w epoce kamienia. Potwierdza to neolityczny toporek kamienny znaleziony w 1911 lub 1912 r. w okolicy cmentarza żydowskiego. W 1919 r. podczas robienia wykopów pod wodociąg w pobliżu browaru robotnicy natrafili na skarb numizmatyczny składający się podobno z blisko 700 eksponatów. Gdy wiadomość dotarła do ratusza, po znalezisku nie było śladu. Przeprowadzone osiem lat później śledztwo wykazało, że na skarb składały się między innymi monety cesarza rzymskiego Septymiusza Sewera z II stulecia nowej ery, antoniany jednego z jego następców Gordiana III i drachmy aleksandryjskie. W tym samym roku, kiedy prowadzono śledztwo dotyczące skarbu z okolic browaru, w pobliżu kościoła Świętej Jadwigi znaleziono srebrną monetę wybitą w połowie III wieku w czasach imperatora rzymskiego Filipa I Araba.

dr hab. Bogumiła Burda
prezeska oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego

Ci, którzy w 1945 r. zamieszkali w Zielonej Górze, przyjechali, jak się wtedy mówiło, na ziemie odzyskane albo na stare ziemie piastowskie. Ich małe ojczyzny były na Podolu, Wołyniu, Wileńszczyźnie. Ja tu się urodziłam. Tu więc jest moja mała ojczyzna. Tu jest miejsce, z którym się identyfikuję, które uważam za swoje. Historia tego miejsca zaczęła się 800 lat temu, może wcześniej. Były to dzieje piastowskie, habsburskie, pruskie, od 73 lat jest historia polska. Moje pokolenie nie ma dokąd wracać, powinno więc poznać przeszłość tego miasta bez względu na to, do kogo ono należało. Będąc we Wrocławiu, jestem dumna, że most Grunwaldzki powstał w zakładach Beuchelta w Zielonej Górze. Gdybym interesowała się żużlem czy koszykówką, byłabym dumna z tego, że najlepsze drużyny są w Zielonej Górze. A to, że dokładnie nie wiadomo, kiedy powstało miasto, nie ma większego znaczenia. Skoro w 1922 r. nasi poprzednicy świętowali 700-lecie, w 2022 powinniśmy obchodzić 800-lecie.

Andrzej Bocheński
wiceprzewodniczący Rady Miasta

Nie uważam, że władze miasta powinny przygotować specjalny program i świętować jubileusz przez cały 2022 rok. Uważam natomiast, że trzeba ten jubileusz zaakcentować. To nic, że nie ma dokumentu poświadczającego datę założenia miasta. Z tego co wiem, nasi poprzednicy także nie dotarli do takiego dokumentu. Pewnie przyjęli, że miasto powstało w okolicy 1222 r. i dlatego uznali, że obchody jubileuszowe to dobra okazja do podkreślenia znaczenia miasta na ówczesnym Nadodrzu. Gdyby ode mnie zależało, to 800-lecie Zielonej Góry włączyłbym do programu Winobrania. Jeden dzień w ramach tygodniowego święta mógłby być poświęcony temu wydarzeniu. Może to wiązać się z uroczystą sesją, podczas której są wręczane dyplomy potwierdzające przyznanie tytułu Honorowego Obywatela Zielonej Góry. Może to być w trakcie spotkania przedstawicieli miast partnerskich, którzy goszczą w Zielonej Górze. A może najlepszym miejscem do świętowania jubileuszu byłby korowód winobraniowy.

dr Tadeusz Dzwonkowski
dyrektor Archiwum Państwowego w Zielonej Górze

W naszym archiwum jest 4999 jednostek inwentarzowych dotyczących Zielonej Góry. Pierwszy dokument pochodzi z 1382 r. Niestety nie jest to ten, na podstawie którego można powiedzieć, kiedy zostało założone miasto. Niemieccy mieszkańcy świętowali 700-lecie w 1922 r. To by oznaczało, że przyjęli, iż miasto istnieje od 1222 r. Nie potrafię ani tego potwierdzić, ani temu zaprzeczyć. Nie znam dokumentu, z którego wynika, ile miasto ma lat. Wszystkie zgromadzone przez archiwistów dokumenty zielonogórskie już znajdują się w naszej instytucji. Do 2017 r. ich spora część jako depozyt była przechowywana we Wrocławiu. Tam najpierw na początku XX wieku i później w latach 30. złożono to, co przetrzymywano w archiwum w Zielonej Górze. To archiwum znajdowało się w nieodpowiednich warunkach, w piwnicy pod ratuszem. Część dokumentów było w posiadaniu utworzonego w 1922 r. muzeum miejskiego. Jedno jest pewne: miasto nie powstało z niedzieli na poniedziałek. Proces ten był długi.

dr Izabela Korniluk
kierowniczka Działu Historycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej

Obchody jubileuszu 700-lecia Zielonej Góry w 1922 r. były fetowane na wielką i niespotykaną dotąd skalę. Trudno dociec, dlaczego na święto wybrano 1922 r., gdyż nie ma żadnych dokumentów, z których wynikałoby, iż właśnie 700 lat wcześniej miasto zostało założone. Nie mniej jednak jubileusz przełożył się na wiele pozytywnych aspektów. Najważniejszym według mnie było wydanie monumentalnej publikacji Hugo Schmidta „Geschichte der Stadt Grünberg in Schlesien" opisującej dzieje miasta. Dzięki temu wydawnictwu, bogatemu w szczegółowe informacje, plany, dokumenty, mapy, ikonografię, historia Zielonej Góry została w pewien sposób usystematyzowana i precyzyjnie opisana. Badacz korzystał z wielu archiwalnych dokumentów, które nie przetrwały wojny, dlatego dla nas obecnie dzieło to pozostaje bardzo ważnym źródłem. Sądzę, że wzrosła wówczas także świadomość mieszkańców przedwojennego Grünberga na temat historii ich miasta i zrozumienia jego dziejów.

dr Robert Rudiak
historyk literatury, poeta, bibliotekarz

Wspaniałą realizacją wydawniczą, która uświetniłaby obchody rocznicowe naszego miasta i byłaby zarazem spoiwem łączącym dawnych mieszkańców Grünberga z żyjącymi obecnie zielonogórzanami, to z pewnością ładnie edytorsko wydana antologia pisarzy niemieckich i polskich, którzy byli i są mieszkańcami Winnego Grodu. Mogłyby się w niej znaleźć obok poezji także fragmenty prozy, ale z pewnością, co najistotniejsze, musiałaby to być antologia dwujęzyczna, po polsku i niemiecku. Doskonałym pomysłem byłoby, gdyby znalazły się niej również informacje biograficzne wraz z fotografiami autorów, a może nawet z wykazem bibliograficznym lub bio-bibliograficznym. Takie kompendium pisarskie przydałoby się z pewnością dla uhonorowania działalności środowiska pisarskiego obecnego i niemieckiego, tworzącego tu przed drugą wojną. A sama książka stanowiłaby pomost między dawnymi i współczesnymi czasami i ludźmi, którzy tworzyli specyficzny klimat, historię i kulturę Zielonej Góry.

Zdzisław Piotrowski
zwany Szambelanem

Proponowałem świętowanie 775-lecia miasta w 1997 roku. Wtedy ze strony władz miejskich nie było żadnej reakcji. Może gdyby ktoś inny przypomniał, ile lat ma Zielona Góra i że w 1922 roku Niemcy świętowali 700-lecie, magistrat by potraktował moją podpowiedź inaczej. Życzę redakcji „Na winnicy" więcej szczęścia. Do jubileuszu pozostało pięć lat. Nie jestem za tym, żeby organizować wielkie uroczystości i wydawać tysiące złotych. Wystarczy uroczysta sesja Rady Miasta i akcenty jubileuszowe podczas Winobrania. Dodałbym do tego bachusika Jubileuszikusa. Któryś plac lub ulicę nazwałbym 800-lecia. Dla młodszych zorganizowałbym konkurs plastyczny o tematyce historycznej. Dla starszych, parających się piórem, ogłosiłbym konkurs na opowiadanie historyczne i potem najlepsze prace wydrukował. Coś powinno się wydarzyć w muzeum. Może specjalna wystawa? Może spektakl okolicznościowy w teatrze? Może koncert jubileuszowy w filharmonii?

Trzy pytania do...

prof. zw. dr. hab. Wojciecha Strzyżewskiego

– W 2011 roku pod Pana redakcją ukazała się pierwsza część „Historii Zielonej Góry", obejmująca dzieje miasta do końca XVIII wieku. Tom liczący 428 stron powstał z inicjatywy uniwersyteckich historyków czy samorządu miejskiego?

– Dyskusje wokół opracowania monografii poświęconej historii Zielonej Góry prowadzone były przez historyków skupionych wokół Uniwersytetu Zielonogórskiego od wielu lat. Wydane zostały jednie zarysy dziejów miasta, a brakowało kompleksowego opracowania. Decyzja prezydenta Janusza Kubickiego o przeznaczeniu środków finansowych na badania związane z historią miasta w istotny sposób przyspieszyła powstanie zespołu i opublikowanie książki

– Wydana rok później dwukrotnie grubsza druga część obejmowała dzieje miasta w XIX i XX wieku. Jakie były trudności z napisaniem obiektywnej powojennej historii Zielonej Góry?

– W przypadku dziejów nowożytnych historyk dysponuje zdecydowanie większą liczbą źródeł, ma zatem możliwość dokładniej prześledzić zachodzące procesy i wydarzenia. Z drugiej strony żyją jeszcze świadkowie tych wydarzeń, którzy mają własne wspomnienia. Wizja dziejów stworzona przez badacza nie zawsze odpowiada tym wspomnieniom. Historyk powinien tak analizować dokumenty i archiwalia, aby po odrzuceniu ewidentnie nieprawdziwych informacji stworzyć obraz dziejów zgodny z ówczesną rzeczywistością.

– Kiedy pojawi się trzeci tom historii miasta?

– W 2019 r. minie 30 lat od transformacji ustrojowej, odrodzenia samorządu terytorialnego, będzie to zatem odpowiedni czas, aby pokusić się o historyczne spojrzenie na zmiany, które dokonały się w tych latach w Zielonej Górze. Na co dzień nie zawsze zdajemy sobie sprawę jak bardzo zmieniło się nasze miasto w ciągu tych trzech dziesięcioleci.

AS

fot. Anna Strzyżewska

Wojciech Strzyżewski – rocznik 1960. Pierwszy rodowity zielonogórzanin z tytułem profesora zwyczajnego nauk humanistycznych w zakresie historii, który szkołę podstawową, średnią i studia skończył w Zielonej Górze. Specjalizuje się w heraldyce i sfragistyce oraz dziejach wczesnonowożytnych od XVI do XVIII wieku. Jest prorektorem Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Emma może wrócić

Wśród 18051 ważnych głosów zielonogórzan, którzy pod koniec 2017 r. uczestniczyli w głosowaniu nad budżetem obywatelskim, 526 opowiedziało się za odtworzeniem pomnika Winiarki Emmy.

Pomnik-fontanna stał na skwerze u zbiegu dzisiejszych ulic Bolesława Chrobrego i Niepodległości *fot. archiwum*

Pochodząca z Brunszwiku Emma Freitag wyszła za mąż za Karla Heinego, sukiennika, który w Czerwieńsku miał pralnię wełny. W 1899 r. przeprowadziła się do domu w Zielonej Górze przy dzisiejszej al. Niepodległości. Tu wpadła na pomysł, aby na pobliskim skwerze postawić coś, co będzie jej przypominało rodzinne miasto. Na przykład fontannę z Dylem Sowizdrzałem taką samą lub podobną do tej, która stoi na brunszwickim rynku. Z prośbą zwróciła się do profesora drezdeńskiej uczelni plastycznej Arnolda Kramera. W 1914 r. artysta przyjechał do Zielonej Góry, obejrzał miejsce, gdzie stanie jego dzieło i niebawem przygotował projekt rzeźby. Jej wykonanie w odlewni w Dreźnie miało kosztować 9 tys. marek. Niestety wybuchła pierwsza wojna światowa i z brązu przeznaczonego na rzeźbę odlano armaty. W 1916 r. zmarła pomysłodawczyni. Dopiero w latach trzydziestych jej córce udało się zdobyć fundusze niezbędne na wykonanie odlewu. W 1937 r. pomnik został odsłonięty w wcześniej wybranym miejscu. „Grünberger Wochenblatt" tak przedstawił to, co wykonał rzeźbiarz: „Młoda, zgrabna niewiasta przychodzi z winnicy i odpoczywa na brzegu fontanny. Ciężka, pofałdowana spódnica, która noszona jest jako ubranie robocze niezależnie od mody, nie jest w stanie zaburzyć jej delikatnych kształtów". Jej pierwowzorem miała być Emma Freitag. Dlatego grünberczycy nazywali ten pomnik Winiarką Emmą. Co się z nim stało po wybuchu drugiej wojny, nie wiadomo. Ci, którzy przyjechali zaraz po przejściu frontu, nie pamiętają, żeby u zbiegu dzisiejszych ulic Bolesława Chrobrego i Niepodległości stał pomnik. Później w tym miejscu pojawił się samolot, ale to już inna sprawa.

DJ

Janusz Łastowiecki

Gala z Winiarką w tle

Laureatka konkursu na utwór o Zielonej Górze Halina Bohuta-Stąpel i zdobywca Zielonogórskiej Nagrody Literackiej Winiarka Alfred Siatecki

To była trzecia edycja nagród literackich zainicjowanych przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry. Od 2017 roku laury przyznawane były w dwóch kategoriach: konkursu literackiego na tekst zielonogórski i nagrody Winiarka. Pierwsza formuła dedykowana jest nowym, niepublikowanym wcześniej utworom pisanym specjalnie na konkurs, druga – wydawnictwom książkowym, które podjęły temat zielonogórski na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Rozdzielenie konkursu pociągnęło za sobą nowe rozwiązania w zakresie wyróżnień. O statuetkę Winiarki mogli teraz ubiegać się autorzy książek. Konkurs literacki na tekst o tematyce zielonogórskiej miał z kolei na celu wyłowienie najciekawiej piszących autorów krótszych form. Tutaj charakter nagrody został utrzymany. Było nią wydanie książki.

W związku z powyższym należało powołać dwa odrębne składy jurorskie. Premierowe wiersze i opowiadania nadesłane na konkurs literacki oceniali: Marta Ruszczyńska (przewodnicząca), Katarzyna Meller, Agnieszka Leśniewska (laureatka Winiarki 2016), Robert Rudiak i Janusz Łastowiecki. Książki zgłoszone na Winiarkę oceniała kapituła w składzie: Ryszard Błażyński (przewodniczący), Izabela Korniluk, Ryszard Zaradny, Radosław Domke i J. Łastowiecki.

Zainteresowanie konkursem literackim było w tej edycji nieznacznie większe niż w ubiegłym roku. Zgłoszono czternaście zestawów, w których dominowała poezja. Lektura poszczególnych zgłoszeń przywodziła najrozmaitsze skojarzenia estetyczne. Niestety niewiele utworów nadesłano spoza Zielonej Góry. Fakt, że konkurs jest „na temat" nie wyklucza przecież partycypacji twórców z innych miejsc Polski. Czy Zielona Góra nie wpadła w pułapkę „miejsca bezpiecznego", zbyt szczęśliwego na poezję? Gdańsk, Wrocław czy Katowice obrosły w sławę literacką właśnie dzięki skojarzeniom ciemnym, organicznym. Myślę, że prestiż nagrody budowany może być też poza konstelacją zielonogórską. Gdy widzą nas z boku, zaczynamy istnieć. Przyszłe edycje będą więc znacznie szerzej wchodzić w interakcje z resztą literackiego świata. Pomóc w tym może prężniejsza promocja w sieci. Przykład wielu konkursów pokazuje, że kluczem do pozyskania uczestników jest internet.

Spośród utworów nadesłanych na konkurs literacki (czternaście zestawów) jury wyróżniło reprezentantów różnych gatunków, poetyk i stylów. Wśród dostrzeżonych tekstów znalazły się wiersze Elżbiety Dybalskiej (teksty „Wizyta", „Turniej konwaliowy", „Wiatr zasiał", „***fotografia w dłoni", „Ławeczka zielonogórska", „***wypełniony kielich", „W parku"), liryczny tekst Roksany Polon („nieważne"), opowiadania Marcina Radwańskiego („Mężczyzna z zajęczą wargą", „Nieznajoma dziewczyna", „Historia pewnego felernego gramofonu", „Wizyta w czytelni") i ballady Haliny Bohuty-Stąpel („Zielonogórskie ballady podwórkowe").

Nowatorski trop poetycki R. Polon, której wiersz spaceruje ulicami Lisią i Wandy zderzał się z opisem Zatonia, gdzie

fot. Alicja Błażyńska

Od lewej: Marcin Radwański, Roksana Polon i Elżbieta Dybalska – autorzy najlepszych tekstów o Zielonej Górze

Gali towarzyszyli instrumentaliści, studenci wydziału artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego

wybrały się strofy E. Dybalskiej. M. Radwański niczym Czechow i Gogol, dokonywał u swoich bohaterów najrozmaitszych metamorfoz (pojawiała się tu na zielonogórskiej twarzy zajęcza warga i otwierająca równoległy wymiar płyta gramofonowa). Regionalny mrok uruchomił czarny rodzaj humoru. A to rzadko spotykana figura w obrębie lubuskich praktyk pisarskich. Pomysł na przypasowania kategorii regionalnej (mamy tutaj opisane konkretne, znane lokalizacje) do psychodelii okazał się rozwiązaniem interesującym, trafiającym w nieodkryte wcześniej rewiry tutejszych zainteresowań laureatów.

To jednak ballady H. Bohuty-Stąpel okazały się w opinii jury najciekawszym pomysłem na literackie zagospodarowanie Zielonego Miasta. Stało się tak, bo te satyryczne i zgryźliwe teksty o redaktorze Haczku i przedsiębiorcach z Konfinu dość sprytnie przetrawiły romanse publicystyki i beletrystyki. Jeśli do tego dodamy Wilhelminę z gminy Zabór, która wyszła za mąż za „w leciech posuniętego" urzędasa, to już mamy niezły przepis na lubuską satyrę. Nie ma tu jednak mowy o postmodernistycznych zawirowaniach. Autorka konsekwentnie skupia się na języku, podając go czytelnikowi precyzyjnie i z kunsztem godnym Karla von Holteia. H. Bohuta-Stąpel dysponuje jednocześnie czymś, co lokowałoby ją w stylistyce retro, tak ostatnio propagowanej i rozwijanej muzycznie, filmowo i literacko. Na konferencji naukowej (współorganizowanej przez TMZG" pt. Wino w literaturze i kulturze, doceniono trud tłumaczenia niemieckiej literatury regionalnej przez laureatkę. Jej scenariusz do filmu „33 minuty w Zielonej Górze, czyli Melpomena wstawiona" przypomniał mieszkańcom o kulturowym zapleczu w postaci tekstów niemieckich, przez które można dzisiaj czytać winne miasto.

Z kolei kapituła Winiarki po lekturze nadesłanych publikacji uznała, że laureatem trzeciej edycji nagrody zostanie Alfred Siatecki. Doceniono jego wieloletni wkład w literackie i dziennikarskie konkretyzacje Zielonej Góry oraz prace nad informatorami i leksykonami dotyczącymi lubuskiego środowiska literackiego. Nowatorskie pod kątem gatunkowym „Klucze do bramy", w których autor rozmawia z tymi, którzy zbyt szybko znikają w mijających datach czy kryminalny „Porąbany" stanowią o stylistycznej różnorodności. A. Siatecki, za pomocą innych narzędzi niż H. Bohuta-Stąpel, ale z podobnym zacięciem pisarskim, odczytuje paradoksy miejsca. Dokładność, geografia ulic wpisana w tekst, skojarzenia sensoryczne, zielonogórski kalejdoskop nazwisk – to niektóre z wyróżniających ten idiom pisarski cech. Przypomina to czasami grę miejską, gdzie jesteśmy w stanie ożywić pomniki (np. palmiarnianego chłopca z konikiem) i sprawdzić, na ile uświadamiana jest mitologia tego winnego miejsca.

Gala rozdania nagród miała miejsce 25 października 2017 r. w Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. Poprowadził ją Mateusz Kasperczyk z Akademickiego Radia Indeks. Literacką część wieczoru ubarwił występ dwóch młodych jazzmanów. Tradycyjnie już, zaprezentowano tomik będący pokłosiem ubiegłorocznej edycji konkursu literackiego. Myślę tu o nowej książce Agnieszki Leśniewskiej „Wyprawa w częstochowskie". Podczas gali miało również miejsce wydarzenie szczególne. A. Siatecki obchodził jubileusz 70. urodzin. Tej okazji towarzyszyło wydawnictwo jubilata, złożone z krótkich form prozatorskich „Pozaduszki". Zostawiam Państwa z wybranymi tekstami laureatów konkursu literackiego i nagrody. Załączam również zdjęcia z wydarzenia.

W tym roku kolejna edycja nagrody i konkursu. Czas leci szybko, więc już dziś zapraszamy do udziału.

Doradca prezydenta miasta Zygmunt Stabrowski przekazał Winiarkę Alfredowi Siateckiemu

W spotkaniu z nagrodzonymi autorami licznie uczestniczyli zielonogórzanie

Ryszard Błażyński, prezes TMZG „Winnica", wręczył Agnieszce Leśniewskiej pakiet autorskich tomików

Halina Bohuta-Stąpel

Ballada o zielonogórskiej narciarce i redaktorze Haczku z „Gazety Lubuskiej”

Nie uwierzycie, harcerek hufce
i wy, dojrzalsze kobiety,
jak się znalazłam na rozkładówce
naszej „Lubuskiej Gazety”.

Internetowa wróżka Gracjanna
(esemes dziewięć czterdzieści)
przysyła wróżbę, że z nieba manna
skapnie mi, takowej treści:

„Jeżeli Wenus w znaku Barana
z Marsem się zejdzie na szczycie,
to wielka sława jest ci pisana,
bogate wieść będziesz życie”.

Więc do Jadwiśki, mojej kumpelki,
mówię: „Nie kumam, kochana!
Czyż, by otworem świat stał mi wielki,
mam czymś zaszczycić... barana?”

A ona na to: „Słuchaj, Grażyna,
przebieraj się w insze szmaty,
ślij esemesa do mego syna,
on z Piotrem Żyłą jest na ty”.

Którąś ze skoczni, a nie barana
musisz, kochana, zaliczyć.
Rankiem wraz z bułką wrąb se banana
i hajda, jedź skoki ćwiczyć!”

Więc biorę narty, znaczy się deski,
mknę do Zakopca ciupasem
modląc się: „Miej mnie, ojcze niebieski,
w swojej opiece tymczasem”.

Patrzę – pod skocznią sam Piotrek Żyła
z synem Jadwiśki tej stoi.
Jak bonie Dydy – ręką mi kiwa,
skakać się, kurna, nie boi!

Jak mnie zobaczył, prychnął w chusteczkę:
„He, he, he, garbik – i ciało!
Wskakuj” – powiada – „tam na poprzeczkę
i leć, leć! Ooooo... poleciało...”

Oj, w uszach szumi, oj, ja nie mogę!
Lecę ja w dół jak popadnie,
przy lądowaniu łamiąc se nogę.
A było, kurna, tak ładnie...

Szczęściem pan Haczek z naszej „Gazety”
cyknął mi fotkę z dopiskiem:
„Wkrótce lubuskie nasze kobiety
nam dorównają we wszystkiem!”

I w magazynie, w naszej „Gazecie”,
fotkę tę mą umieścili:
mój nos, biust, czoło – wszystko w komplecie,
lecz gaży nie wypłacili.

Nic to, bo fotkę tę zoczyć może
jakiś znaczący menadżer
i da mi etat w La Scalli! Boże,
i etat, i niezłą gażę!

Póki co grywam se w kabarecie –
– stąd żabi skok do estrady.
(Choć tu strwoniłam talentu kwiecie,
ale nabyłam ogłady).

Oj, usłyszycie wy mnie w La Scalli,
Metropolitan Operze!
Daj Boże zdrówko wróżce, tej lali,
we wróżby której ja wierzę.

Wszak niebanalną mam ja urodę
i takiż talent, niestety,
więc zazdraszczajcie mi szczęścia, młode
jak i dojrzalsze kobiety!

rys. Kazimierz Wysocki

Elżbieta Dybalska

Ławeczka zielonogórska

pod błotnym dębem
stara, wilgotna i szara
wystylizowana czasem na konfesjonał
stoi na metalowych nogach
parkowa ławeczka
a może cmentarna?
park co był cmentarzem
czy cmentarz co był parkiem?
białą drogą idzie kobieta
czerwona aksamitka wpleciona
w kruczy warkocz
siada na ławce
pokazuje kolana
macha nogą
trochę się śmieje
patrzy w niebo
na kolanach liść
(nie list)
liść czerwony
spada z drzewa
umiera

Turniej konwaliowy

W naszym mieście turniej konwaliowy
Do Zielonej Góry zjechały pary
Ja bez pary
w ręku mam bukiecik konwaliowy
na głowie wianek z winogrona
suknia moja jest czarna
mimo wszystko tańczę
mój losie "łaskawy"
podaruję wam bukiet bieli i dużo
zieleni
  wasza zielonogórzanka

Roksana Polon

***

nieważne, czy idę Lisią, czy też Wandy
za lewe ramię rzucam żółte kwiaty
siadam na ławce podziwiać pogrzeb Berlioza

słońce polilokuje w oknach, jak w stłuczonym lustrze
nawet na Łużyckiej wlewa się przez kraty
nieważne, czy idę Lisią, czy też Wandy

noszę się co dzień z tym, by oddać nasze dziecko
a co noc dogania mnie głupie sumienie
nie dotrę na Jedności, Chrobrego, ani do Norwida

nie będą mi po drodze półki i gablotki życia
małe Bachusiki spychają mnie w brudne bramy
nieważne, czy idę Lisią, czy też Wandy

jadę na ósme piętro wieżowca na Wyszyńskiego
gdy tylko winda wypuści mnie z objęć
podczas biegu do okna postradam buty

dostrzegam tylko pochód głęboko czarny
złośliwie przypiekany zmultipikowanym promieniem
nieważne, czy idą Lisią, czy też Wandy
to tylko kondukt Berlioza, ani śladu ciebie

rys. Kazimierz Wysocki

Marcin Radwański

Mężczyzna z zajęczą wargą

Widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć.

Prześladował mnie od wczoraj.

Wstałem jak zwykle o 7.15 z werwą, która ogarnęła mnie od kilku dni. Uznałem to za dobry znak, ponieważ całą jesień męczyłem się ze swoim melancholijnym nastrojem. Jednak od poprzedniego czwartku, pamiętnego zresztą, gdy otrzymałem nagrodę za swoją ostatnią powieść, było zupełnie inaczej.

Wiem, że to trywialne i zupełnie naturalne. Przydarzyło się jednak i w końcu mnie, co mogę śmiało uznać za jeden ze swoich największych sukcesów życiowych. Poza żoną, dwójką dzieci i… No właśnie nie. To największy i jedyny sukces.

Tak więc ruszyłem o ciemności do łazienki i pierwsze co zrobiłem, to zapaliłem papierosa. Stałem nad sedesem, uważając, żeby tytoń nie spadł na podłogę. Byłem jednak jeszcze tak zaspany, że do końca mi się to nie udawało. Rzuciłem więc niedopałek, spuściłem wodę i zabrałem się za robienie mocnej kawy. Najpierw wsypałem kawę do kubka, później dodałem zimne mleko i zalałem wrzątkiem. Nigdy nie poczułem różnicy, gdy była zrobiona w prawidłowy sposób. Znajomi jednak nie chcą jej pić.

Na śniadanie zrobiłem sobie dwa jajka sadzone. Później toaleta i wiadomości w radiu. Ubrałem się jak zwykle, w zieloną kurtkę, której nie mogłem znosić od kilku lat i uważałem za nadającą się na taką marną pogodę.

O 8.16 wyszedłem na korytarz.

Gdy zamykałem drzwi na klucz, ze skrajnego mieszkania wyłonił się sąsiad. Nie byłem z nim zaprzyjaźniony. Rzuciłem niewyraźnie „dzień dobry". Usłyszałem zdawkową odpowiedź. Jednak coś do końca nie było w porządku. Odwróciłem głowę jeszcze raz.

Majstrował długo przy zamku, a później spojrzał w moją stronę.

Miał zajęczą wargę.

Mogę przysiąc, że wcześniej tego nie zauważyłem, a widziałem go przecież już nie raz. Ten widok zmroził krew w moich żyłach. Sąsiad dawno zjechał windą na parter, a ja stałem osłupiały w pustym korytarzu.

Ruszyłem niepewnie dopiero po kilku minutach. W oczach migotały mi świetliki i nie za bardzo widziałem otaczającą mnie rzeczywistość. To spowodowało, że zderzyłem się z sąsiadką przy drzwiach wyjściowych.

– Ślepy jesteś?! – rzuciła.

Byłem od niej starszy pewnie o dekadę albo i więcej i nigdy nie pozwoliłem sobie na poufałość mówienia per „ty". Mruknąłem „przepraszam" i niezbyt się nią przejąłem, bo na horyzoncie ujrzałem zarys autobusu, który powoli zjeżdżał z górki, gdzie usytuowana była pętla. Wyskoczyłem więc pędem w tym kierunku, ze świadomością że kolejna „8" będzie za jedenaście minut.

Pomyślałem, że może lepiej by było, gdybym naprawdę oślepł. Wtedy na pewno dostałbym rentę. Nie musiałbym patrzeć na szarobrudny krajobraz i gadające wciąż w telewizji głowy polityków. Co jednak z moim pisarstwem? Jednak nie, ten pomysł zupełnie odpada. Pokręciłem znacząco głową, a kobieta siedząca na „moim" miejscu spojrzała na mnie ze zdziwioną miną.

– Przystanek Wyspiańskiego – powiedział głos z taśmy.

Wkroczyłem do urzędu, w którym pracowałem już dwunasty rok. Pokazałem legitymację recepcjonistce. Z tego co wiedziałem, była to emerytka z doświadczeniem w komitecie wojewódzkim, więc łatwo odnalazła się w tutejszych procedurach i zwyczajach. Czasami nawet przejawiałem w stosunku do niej niejakiego rodzaju sympatię, myśląc o tym, jak nużąca i monotonna musi być jej funkcja. Pozwalałem sobie wtedy na niemrawy uśmiech. Nigdy nie pozostawał on odwzajemniony.

Rozebrałem się i usiadłem na krześle. Włączyłem komputer i poszedłem na zaplecze zrobić sobie kawę. Tam toczyło się życie towarzyskie mojego wydziału. Oczywiście nie obejmowało ono mnie, więc stałem tylko przy ekspresie, wpatrując się w okno.

Wróciłem na miejsce. Pozostały dwie godziny do przyjazdu szefa, jeżeli w ogóle przypomni sobie, że trzeba pojawić się w pracy. Poprawiłem koszulę i włączyłem program pocztowy. Otrzymałem dwie wiadomości. Miałem do wykonania trzy ankiety, których termin kończył się za cztery miesiące. Każda mogłaby zająć mi około trzech godzin. Poprawiłem okulary. Przełączyłem się na stronę z wiadomościami.

Polityka szybko mnie znudziła, więc zahaczyłem o sport, a skończyło się na portalu erotycznym.

Wtem do moich nozdrzy wdarł się zapach taniej wody kolońskiej, takiej samej, jakiej używał mój ojciec. Powoli spojrzałem w tym kierunku. Nade mną stał kierownik, mężczyzna otyły i łysy, który zawsze miał na sobie zbyt obszerny garnitur. Znów oniemiałem. Jego uśmiechnięte usta uwydatniały ogromną zajęczą wargę. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem, a pracuję z nim od ponad pięciu lat.

rys. Kazimierz Wysocki

– Kolejne sprawozdanie? – zapytał.

– Tak – odparłem, próbując zakryć swoje zaskoczenie.

– Zamęczą nas tym, ale taki już nasz los – powiedział. Odwrócił się i odszedł w kierunku swojego gabinetu.

Skryłem głowę w dłoniach. Próbowałem sobie to w jakiś sposób wytłumaczyć. Może zbyt małą wagę przywiązuję do szczegółów? Ten mężczyzna przecież musiał mieć tę wadę od urodzenia. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?

Poszedłem do łazienki. W korytarzu minąłem kobietę z księgowości o dużej twarzy, która dziwnie patrzyła się na mnie przez soczewki okularów.

Stanąłem przed lustrem i zmoczyłem twarz wodą. Sprawiło mi to przyjemność i ulgę. Spojrzałem ze spokojem w swoje odbicie.

To, co zobaczyłem wstrząsnęło mną niesamowicie. Moje usta zdobiła, a raczej szpeciła zajęcza warga. Dotknąłem jej palcami. Wystawiłem język i przeciągnąłem po niej, badając coś, co zapewne miałem od urodzenia. A może jednak nie?

Wyskoczyłem z toalety i biegiem skierowałem się do gabinetu kierownika. Akurat jadł ogromny kawałek ciasta.

– Muszę wyjść na kilka godzin. Wpiszę to do urlopu – zameldowałem.

Zarejestrowałem, że nadal ma to na twarzy.

Wyłączyłem komputer, chwyciłem kurtkę, okazałem legitymację i byłem już na zewnątrz. Padał deszcz. Osłoniłem głowę teczką i rozglądałem się za taksówką. Nic się nie pojawiało, więc ruszyłem w stronę przystanku.

Autobus podjechał po kwadransie. Było w nim ciasno i duszno, ale nie zwracałem na to uwagi. Dojechałem na miejsce po dziesięciu minutach.

Zadzwoniłem, będąc przekonany, że ktoś musi mi otworzyć. Nie myliłem się. Otworzyła moja matka. Pocałowałem ją w policzek i szybko rozebrałem się w przedpokoju. Była przestraszona moją niezapowiedzianą wizytą w godzinach pracy. Widziałem, jak drżą jej dłonie. Zaprowadziła mnie do dużego pokoju. Na okrągłym stoliku rozstawiona była chińska zastawa deserowa w kwieciste wzory.

– Napijesz się? – zapytała spokojnym głosem.

Kiwnąłem głową z zaprzeczeniem. Na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Już wiedziała, że zapytam o coś ważnego.

– Od kiedy mam zajęczą wargę?

Spojrzała mi w oczy, w których ujrzałem uśmiech. Rozpromieniła się nagle, a ja pomyślałem, że pewnie spodziewała się pytań o ojca. Nachyliła się i dotknęła moich ust.

– Przecież masz to od dziecka – zaczęła mówić z miłością w głosie. – Nigdy ci to nie przeszkadzało. Zresztą niektórym, a na pewno zaliczasz się do nich, dodaje ona męskości.

Zrobiło mi się wstyd. Z dużą dozą pewności stwierdziłem, że musiałem zwariować. I to wcale nie odrobinę, robiąc na przykład z siebie durnia na pracowniczym spotkaniu, ale tak naprawdę.

Dziś wstałem o 6.50. Kilka minut spędziłem w toalecie, wypalając dwa papierosy. O 7.00 zadzwoniłem do poradni zdrowia psychicznego. Rejestratorka była oziębła, ale przekonałem ją, że potrzebuje natychmiastowej pomocy. Umówiła mnie na 9.45.

Wykonałem więc telefon do kierownika i oznajmiłem, że wybieram się do lekarza. Nie miał dobrego humoru, pewnie przez porę, w jakiej się kontaktowałem, ale przyjął to bez komentarza.

– Jak musisz, to musisz – powiedział i się rozłączył.

Pomyślałem, że może nie będzie ze mną tak źle.

Zrobiłem kawę i ugotowałem jajka na miękko. Zupełnie nie miałem ochoty na posiłek, ale zmusiłem się do ich zjedzenia. Do 8.30 stałem przed lustrem i wpatrywałem się w swoje odbicie. Spaliłem przy tym połowę paczki papierosów.

Ogarnął mnie dziwny spokój i opanowanie. Byłem jednak wciąż czujny i ostrożny, spodziewając się czegoś, co może spowodować, że znów poczuję się źle.

Wyszedłem na przystanek. Przy wiacie paliłem kolejnego papierosa i przyglądałem się kobiecie z małym chłopcem. Miał na sobie ciasny kombinezon i nie chciał słuchać się matki. Co rusz wchodził na ławkę, a później z niej zeskakiwał. Biegał i krzyczał. To takie zabawne, pomyślałem, gasząc niedopałek.

Wsiadłem do autobusu.

O 9.35 byłem na miejscu.

W rejestracji poinformowano mnie, że muszę czekać. Usiadłem na kanapie, która stała przed gabinetem. Wraz ze mną na wizytę oczekiwały trzy kobiety w wieku dojrzałym i, co wydało mi się dziwne, dość zadbane i takie zwyczajne. Byłem tym lekko zawiedziony i łypałem głową w głąb korytarza, żeby zobaczyć jakiegoś wariata.

Otworzyły się drzwi gabinetu. Weszła pacjentka.

Splotłem dłonie zimne niczym lód. Drgała mi jedna noga i nie mogłem jej uspokoić. Im bardziej chciałem to zrobić, tym mocniej podskakiwała. W korytarzu ktoś krzyknął. Niczego jednak nie zdołałem dojrzeć.

10.21. Moja kolej.

Gabinet okazał się malutkim pokojem, pomalowanym na fioletowy kolor, który raził mnie w oczy. W środku biurko, czajnik, stary magnetofon i kalendarz na ścianie. Usiadłem na jednym z krzeseł dla pacjentów. Spojrzałem na lekarza.

Miał około 60 lat. Szczupły i energiczny, z kozią brodą i okularami na nosie. Przypominał mi trochę postać z kreskówek. Mimowolnie wywoływał uśmiech na twarzy.

Najpierw odszukał moją kartę, potem spoglądał na ekran komputera. Siedziałem i nie odzywałem się. Po chwili spojrzał na mnie.

– Jak się pan czuje?

– Dobrze – odpowiedziałem bez przekonania.

– Jaki więc ma pan problem?

Spuściłem wzrok na podłogę i poczułem się niezręcznie. Moja noga zaczęła znowu drgać.

– Proszę się nie krępować. Jestem tu po to, aby panu pomóc.

Podniosłem głowę i spojrzałem mu w oczy.

– To może wydawać się dziwne, ale od wczoraj mam zajęczą wargę – wydusiłem z siebie.

Psychiatra znów spojrzał na monitor. Wyglądało na to, że zupełnie go to nie zdziwiło, a jego zachowanie zdradzało obojętność. Wyciągnął z kubka pióro i zaczął coś pisać w karcie pacjenta.

– Wcześniej pan nie widział u siebie zajęczej wargi?

– Dopiero wczoraj.

– Ile ma pan lat?

– Trzydzieści osiem.

– Widzi pan zajęcze wargi u innych?

– Od wczoraj. Można powiedzieć, że mnie prześladują.

– A widzi ją pan u mnie?

Pytanie zbiło mnie z tropu. Przecież to było takie oczywiste.

– Przecież pan jej nie ma.

– A pan ma?

– Tak.

– A może jednak nie?

Zatrzęsło mnie w środku. Obie nogi podskakiwały mi w nerwowym tiku. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Zrobiło mi się gorąco i zacząłem nerwowo oddychać.

– Proszę się uspokoić. Nie ma się czym denerwować – powiedział, uśmiechając się.

Odwzajemniłem się wymuszonym grymasem.

Przez dziesięć minut siedzieliśmy w milczeniu, wsłuchując się w pracujący termowentylator, który stał na podłodze.

– Przeprowadzę teraz test. Proszę się zastanowić i odpowiedzieć. Jakie zwierzę pan widzi?

Psychiatra wstał i podszedł do stojącej w rogu szafki. Wyciągnął plastykową opaskę z zajęczymi uszami i nałożył ją sobie na głowę. W takim przebraniu usiadł przy biurku.

Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem wydusić z siebie słowa. To, co tutaj się działo, było jakimś koszmarnym snem. To ma być opieka lekarska i badanie?! – krzyczałem w myślach.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponaglił mnie psychiatra.

– Zając – odpowiedziałem z zażenowaniem.

– Dobrze, dobrze – zamruczał i zdjął przebranie z głowy.

Sięgnął ponownie po pióro i zaczął intensywnie pisać. Siedziałem w zupełnym milczeniu. W końcu skończył i wyprostował się na fotelu.

– Co pan myśli o tym wszystkim? - zapytałem.

– Jest tak, jak myślałem. To nie jest szczególny przypadek, proszę pana.

– To znaczy jaki?

– Zwykły.

– Czyli jestem wariatem?

– Mogę to potwierdzić z całą stanowczością – odpowiedział, potakując przy tym głową.

Mirosława Szott

W poszukiwaniu gorzkiej kości

Tomik Agnieszki Leśniewskiej „Wyprawa w częstochowskie" to rzecz bardzo niepozorna. Zaledwie trzydzieści jeden tekstów, grafiki początkującej artystki (Klaudii Ślusarczyk), liczne niedoskonałości wydawnicze, brak redaktora, minimalny nakład. I – na szczęście – metafizycznie niepokojące wiersze.

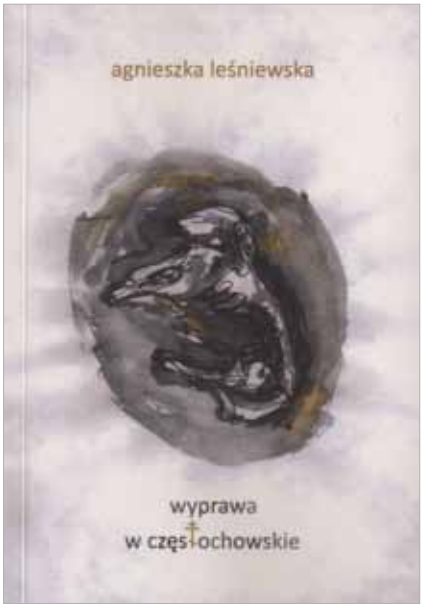

Tomik został wydany jako nagroda w konkursie na wiersz o tematyce zielonogórskiej organizowany przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica". Ale pora oddzielić go od kontekstów konkursowo-zielonogórskich. Nie jest to „wyprawa w lubuskie", pomijając to, co jedynie sygnalizuje *coda*. Tytuł nie odsyła do poszukiwań geograficznych (lub pielgrzymkowych), ale do rozwiązań w obrębie języka poetyckiego. Częstochowskie rymowanie stało się bowiem synonimem grafomanii i – zupełnie na opak – stanowi osobliwą odtrutkę na nadmuchaną współczesność.

A. Leśniewska zadebiutowała w 2005 roku tomikiem „Dwie rzeczy". Po kilku latach od tego momentu pisałam, że przeoczyliśmy ten świetny debiut (został jedynie wyróżniony w Lubuskich Wawrzynach Literackich, ale i to mu nie pomogło). Być może „miasto jest jak czarna płachta / znika w nim światło nie rozchodzi się głos" („dwie rozmowy") i znika też poezja. Czy literatura nie wystarczyła, potrzeba było promocji, środowiskowych układów? Brzmi to fatalnie i prowincjonalnie. I podskórnie cieszę się, że A. Leśniewska nie posiada żadnej z cech, która przymuszałaby ją do zabiegania o te wpływy. Oby tym razem zauważono to, co poetka ma do powiedzenia.

Sama okładka daje nam kilka powodów do zastanowienia (np. wykorzystanie krzyża prawosławnego jako elementu graficznego). Na centralnym planie bezwładnie ułożone zwierzę, raczej pies (choć wyjątkowo przypominający baranka). Przypuszczać można, że jest to rzut z góry, zatem pies leży w dole. Ale równie dobrze mógłby być to szkic przedstawiający płód psa w łonie matki, co ujednolica perspektywę narodzin i śmierci. Grafika ta naprowadza na tekst „zakopanie psa", w którym poetka opisuje moment scalania się psiego życia z ziemią. Oto fragment:

„a ziemia stęka niczym pieczeń
na ruszcie. on w jej ogniu
sczernieje, spłowieje, aż wreszcie
zbieleje na kość

wielki hodowco! przyjmij go
– ten na pewno był ubogi"

To wiersz przejmujący, pokazujący cierpienie, które dosięga zwierzęcia. Pies i jego zbawienie to przykład zorientowania eschatologii A. Leśniewskiej na sprawy traktowane jako marginalne i drugorzędne (zwróćmy uwagę na motto z Kawafisa). W poetyckim imaginarium zielonogórskiej poetki zauważyć można wiele elementów akwatycznych . Pojawia się woda, rzeki, wreszcie też zamieszkujące je ryby (czyżby nawiązanie do starogreckiego Ichthys?). To właśnie na tym polu skojarzeń powstają wyraziste metafory: „tutaj jeziora mają smak herbaty; gdy tylko przepijemy ocean, / gdy mu wyżremy serce z soli". W wierszu „zupa rybna" poetka tworzy niezwykły, kulinarno-symboliczny obraz:

„w głowie matki (i karpia) znajduje się tzw. gorzka
kość, jest to żółta
chrząstka,
tak łatwo ją znaleźć
trzeba ją podważyć nożem i wyrzucić, nadaje bowiem zupie gorzki smak"

Mam nieodparte wrażenie, że cała poezja A. Leśniewskiej to szukanie gorzkiej kości rzeczywistości. Nie po to, aby ją podważyć i wyrzucić, ale po to, aby uczynić z niej esencję tych wierszy. Może właśnie dlatego są to teksty niewygodne, cyniczne. Dodatkowo trud odbioru potęguje stosowanie przez poetkę pierwszej osoby liczby mnogiej.

Zatem wszyscy, którzy to czytamy, tworzymy pewną wspólnotę i delektujemy się gorzkim smakiem swoich czynów: „dotarliśmy na brzeg piątego / oceanu, tu nasze konie spienione padły, / i zjedliśmy je, dłużej nie będą potrzebne, / zjedliśmy nawet ich imiona". Wyraźnie widać pulsujące przenikanie fizycznego z metafizycznym. Uwagę zwracają wielokropki, raczej już rzadko praktykowane w poezji ze względu na strach przed ich nadmiarem (przestrzegała przed ich nadużywaniem Wisława Szymborska w słynnej „Poczcie literackiej"). Nie spoczywa na tych tajemniczych znakach misja budzenia w czytelniku zadumy. Kropki to pewna gra. „Jesteśmy za mali by widzieć dwie rzeczy naraz / zamykamy jedne drzwi nim otworzymy drugie" – czytamy w tytułowym wierszu z tomiku „dwie rzeczy". Może tam, gdzie znajdujemy dwie kropki obok siebie, mamy spróbować otwierać wiele drzwi naraz (interpretować słowa symultanicznie). Albo przynajmniej... wszystkich nie zamykać.

Zielonogórska poetka pisze ten tomik na przekór, nie-zielono-górsko. Pozwala też sobie na „bieganie wzdłuż płotu, którego już nie ma, szczerząc się / na własną opowieść". Myślę, że wielu uwierzyło i w płot, i w opowieść.

Agnieszka Leśniewska, Wyprawa w częstochowskie, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2017, 58 s.

Krystyna Kamińska

Dobre duchy, przybywajcie także do Gorzowa!

Ten tekst powstaje z zazdrości. Z zazdrości, że Zielona Góra ma taką książkę, a Gorzów nie. Napisał ją Alfred Siatecki, a jej tytuł to „Pozaduszki". Składa się na nią osiem małych form prozatorskich: opowiadanie, wywiad, wspomnienie, fantazja naukowa itp. Ważne, że wszystkie dotyczą przeszłości Zielonej Góry. To doskonała forma popularyzowania wiedzy o historii swojego miasta.

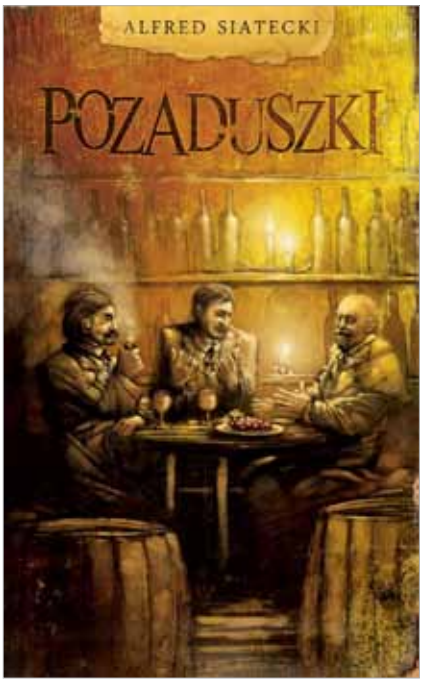

Marzy mi się, aby zamiast zasłużonego dla Winnego Grodu twórcy winnic bohaterem gorzowskiego opowiadania był przebojowy przemysłowiec, np. Hermann Johann Paucksch. A może twórca Renety landsberskiej Theodor Burchardt? Wzruszającą opowieść o rzeźbie chłopca z konikiem spod Palmiarni z powodzeniem mogłaby zastąpić równie atrakcyjna historia Marii z fontanny Paucksch. Gdy we wrześniu 1930 r. zmarł Max Bahr, w mieście ogłoszono żałobę, a w jego pogrzebie uczestniczyli wszyscy mieszkańcy. Opis tego pogrzebu to gotowy scenariusz filmu o zasłużonym dla miasta przemysłowcu i społeczniku.

Kiedy czytałam poświęcony Gorzowowi siódmy tom Corpus inscriptionum Poloniae „Miasto i powiat Gorzów Wielkopolski (do 1815 roku)", same nasuwały mi się historie godne literackiego przetworzenia. A to o szwedzkim kapitanie, którego dzieci są pochowane w katedrze, a to o paniach, które równo 400 lat temu dla katedry ufundowały ambonę. Zainteresowanych odsyłam do mojego omówienia „Dokumenty o rzeczach i ludziach" z 7 sierpnia 2016 r. na stronie www.echogorzowa.pl w zakładce „Czytaj ze mną".

*

A. Siatecki zatytułował swoją książkę „Pozaduszki". Słowo „duszki" znamy, słowo „zaduszki" także, ale jeszcze przedrostek „po". Po co? Tajemnicę wyjaśnia opowiadanie ostatnie pod tym właśnie tytułem. Co roku w listopadzie zielonogórskie muzeum zaprasza gości na wieczór wspomnień o zasłużonych i godnych, a już nieżyjących mieszkańcach miasta. Autor rozwinął wodze fantazji i zaprosił na taki wieczór osoby zasłużone, ale przed wiekami. Stawili się tu urodzeni, którzy zdobyli uznanie gdzie indziej, potem tacy, którzy tu się wykazywali, choć urodzili gdzie indziej. Ceremonią kierował dziwnie ubrany ni to diabeł, ni to anioł. Na pewno duch.

Generalnie dużo duchów jest w „Pozaduszkach", bo to najbardziej zręczny sposób, by wyjaśnić dlaczego wybrał Zieloną Górę architekt, który miał odwagę nadać miastu nowe oblicze. Albo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że meteoryty spadały właśnie między Zieloną Górą a Sulechowem. Kilka opowiadań ma swoje korzenie w fantastyce naukowej, widać, że ten rodzaj literatury także autora pociąga.

*

Książka została zainspirowana i wydana przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", które już wcześniej wydało siedem publikacjio mieście.

Oczywiście, aby napisać opowiadania o historii, trzeba tę historię dobrze znać i rozumieć mentalność ludzi, którzy dawniej żyli. A. Siatecki jest autorem sześciu tomów „Kluczy do bramy", czyli fikcyjnych wywiadów z postaciami historycznymi na interesujące ich tematy. Zamieszczona w tej książce rozmowa „Sąd Ostateczny nad księdzem Michalskim" doskonale mieści się w tamtej formule. Ponieważ opowieści dotyczą głównie okresusprzed 1945 r. i niemieckich mieszkańców miasta, autor operuje wyłącznie niemieckimi nazwami. Na końcu zamieszczono więc słownik użytych nazw z ich polskimi odpowiednikami.

*

Fantastyka zawarta w kilku tekstachma zapewne swoje źródło w konkursie literackim na opowiadanie co roku ogłaszanym przez zielonogórski Klub Fantastyki „Ad Astra". Mogą być użyte wszystkie formy fantastyki, byle splecione z wątkami zielonogórskiej historii lub codzienności. Konkurs cieszy się dużym zainteresowaniem, ukazało się już siedem tomów „Fantazji zielonogórskich" z najlepszymi opowiadaniami.

*

Kiedyś jedną z kategorii Konkursu Literackiego im. Zdzisława Morawskiego był utwór o Gorzowie. Ale wtedy pisanie o konkretnym mieście jeszcze nie było modne, jeszcze pisarze chcieli być uniwersalni. Najpierw umarła kategoria, a teraz także sam konkurs. Może warto go ożywić? A może ogłosić nowy?

Dobre duchy, przybywajcie do Gorzowa, abynam dać książki podobne do zielonogórskich. Mamy dużo wierszy o Gorzowie, teraz czas na prozę. Uprzedzam jednak ewentualnych autorów utworów o przeszłości: najpierw trzeba dobrze poznać historię, aby później ją przetwarzać, a nawet się nią bawić. Dobre wzory są: patrz – Alfred Siatecki, „Pozaduszki".

Alfred Siatecki, Pozaduszki, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2017, 252 s.

Natalia Fabiszewska-Domke

4 Róż dla Lucienne już nie ma

Być może istnieją zielonogórzanie, którzy tę nazwę kojarzą jedynie z opowiadaniem Rolanda Topora, jednakże jak pokazuje moje i wielu innych stałych bywalców klubu doświadczenie, byłaby to sytuacja graniczącą z niemożliwym. 4 Róże dla Lucienne stały się chlubą i znakiem rozpoznawalnym Zielonej Góry w całej Polsce.

Koncert zespołu Lao Che

Publiczność festiwalu Filmowa Góra *fot. archiwum klubu*

Nie raz zdarzyło mi się być świadkiem lub uczestnikiem rozmowy, gdzie osoby z najdalszych zakątków naszego kraju opiewały sławę klubu, który na stałe wpisał się w serca fanów muzyki rockowej z naszego miasta.

Jego historia sięga 1997 r., gdy po raz pierwszy pod adresem Stary Rynek 17 zabrzmiała muzyka, a klubowicze mieli okazję uczestniczyć w imprezie inaugurującej działalność nowego przybytku rozrywkowego. Już w początkowych latach działalności jego profil był jasno określony. Miejsce przeznaczone było dla fanów muzyki rockowej, metalowej i wszelkich alternatywnych gatunków. Ciemne i zadymione sale skutecznie wprowadzały w undergroundowy nastrój, zaś rosnąca liczba stałych klientów zapowiadała wieloletnią karierę lokalu.

Nieodzownym elementem imprez organizowanych przez 4 Róże dla Lucienne stały się koncerty i spotkania z artystami sceny muzycznej. Przez 19 lat działalności na scenie klubu podziwiać można było takie zespoły, jak: Artrosis, Closterkeller, Vader, Hunter, Desdemona, Acid Drinkers, Kabanos, Cadillac, Alcoholica, Pandemonium, Percival, Kat. Nie było koncertu, podczas którego nie dopisałaby publika, wręcz przeciwnie, nierzadko brakowało miejsc i wierni fani stłoczeni pod sceną godzili się na trudne warunki odbioru w ścisku. Jednakże właściciele klubu dbali nieustannie o to, aby oferta stale się poszerzała, więc obok koncertów na scenie gościli również artyści branży rozrywkowej.

Jak głosi logo 4 Róże dla Lucienne, to klub muzyczno-artystyczny. Dzięki prężnym działaniom Brunona Aleksandra Kiecia, Igora Skrzyczewskiego, Artura Belinga i Światosława Karwata powstała Fundacja Kombinat Kultury, która rozszerzając ofertę 4 Róż stworzyła na przestrzeni lat wiele ciekawych Festiwali: Róże Jazz Festiwal, Festiwal KinoPozaKinem „Filmowa Góra" czy Rock Nocą. Jednym z najbardziej znanych był cykl spotkań nazwany Sztuką Kultury. W ramach projektu na scenie klubu zobaczyć można było takich artystów jak: Andriej Kotin, Jarosław Jaros, Jan Kondrak, Ja Ediczka, Elżbieta Dębska, Grzegorz Halama, Marta Śliwa, Arkadiusz Zawiliński.

Kolejnym projektem, z którego słynął Kombinat, był Rock Nocą. Festiwal odbywa się w ośmiu miastach Polski: Warszawa, Zielona Góra, Wrocław, Chorzów, Kraków, Olsztyn, Bydgoszcz i Łódź oraz w Europie: Berlin, Biała Cerkiev, Charków, Lwów, Kłajpeda, Mińsk czy Peterborough. Stali bywalcy 4 Róż nie raz mieli okazję uczestniczyć w kolejnych etapach edycji projektu i podziwiać na scenie klubowej mniej lub bardziej znane zespoły.

Letnia impreza, Róże Jazz Festiwal, organizowana była od roku 2003 przy współpracy z młodym środowiskiem jazzowym

z Big Bandu uniwersyteckiego, Uniwersytetem Zielonogórskim i dużą grupą zapaleńców. Dzięki tej inicjatywie zielonogórzanie mogli cieszyć się występami artystów z Polski i zza granicy, m.in. Roberta Chyły, Tomasza Szczepaniaka, The Positive, Dawida Toczewskiego, The Conception czy Macka Goldsbury'ego, Lee Konitza, Steva Logana, Bobo Stensona, Jazz Kamikaze, Jana Ptaszyna Wróblewskiego czy Janusza Muniaka.

Działalność klubu i Kombinatu Kultury to także projekty na rzecz Amnesty International. Wielokrotnie w okolicach 10 grudnia w 4 Różach dla Lucienne odbywał się maraton pisania listów, trwał on 24 godziny i każdy, kto wyraził chęć, mógł wziąć w nim udział. Mając na celu obronę praw człowieka, każdy uczestnik pisał list. Jak podkreślił Igor Skrzyczewski, koordynator akcji: „Indywidualnie wyrażony sprzeciw przeciwko łamaniu praw człowieka ma szczególną moc. Maraton nie jest zwykłą zbiórką pieniędzy, ale konkretnym przykładem działania. Te listy są naprawdę skuteczne. Szacujemy, że nasze listy pomagają w ponad 30 procentach przypadków, chociaż tak naprawdę nie liczby są tutaj najważniejsze, warto pisać dla uratowania nawet jednej osoby".

Liczne stand upy, kabarety, odczyty monogramów, a nawet… teatry kukiełkowe, sprawiały, że dzięki 4 Różom nie można było się nudzić. Prawdą jest, że każdy zielonogórzanin niezależnie od hobby i preferencji muzycznych potrafił znaleźć coś dla siebie w stale wzbogacanym programie klubu. Jedni bywali tam, by grać w gry, inni czytali poezję, fani kina zapoznawali się z klasyką fimową, zaś wielbiciele sportu zawsze mieli możliwość kibicowania przed telebimem.

Niestety, mimo tak wielu zasług, 30 czerwca 2016 r. przestał istnieć. Powodem był hałas przeszkadzający mieszkańcom budynku i wymóg wygłuszenia całego lokalu (300 m kw.), którego spełnienie nie było gwarancją pozwolenia na dalszą działalność. Ostateczna decyzja inspektoratu budowlanego przekreśliła szanse na egzystencję lokalu, która bez koncertów i wydarzeń artystycznych nie miałaby sensu. Kierownictwo 4 Róż optymistycznie zapowiadało powrót w innej lokalizacji. Jednak pomimo kolejnych przybytków rozrywki, starających się zapełnić lukę po legendzie Zielonej Góry, wielbiciele klimatycznego lokalu przy Starym Rynku 17 nadal szukają choć cząstki atmosfery 4 Róż dla Lucienne.

Będąc świeżo upieczoną mieszkanką Zielonej Góry dowiedziałam się o istnieniu 4 Róż od znajomych, którzy znając moje preferencje muzyczne, uznali za konieczne zapoznanie mnie z jedynym zielonogórskim przybytkiem na miarę fana rocka. Należę do tej grupy osób, która lokal widziała już po remoncie, czego zawsze bardzo żałowałam, słysząc dziesiątki opowieści starszych klubowiczów o 4 Różach z czasów, gdy palić można było wszędzie. Gdy moja stopa po raz pierwszy stanęła na wysłużonych deskach klubu, uznałam że dziesiątki lokali w Poznaniu i Wrocławiu, mianujących się pubami rockowymi, nie miałoby szans w porównaniu z perłą zielonogórską. Tak zostałam stałą bywalczynią 4 Róż, które dla mnie to nade wszystko muzyka i ludzie. Dane mi było uczestniczyć w niezliczonej ilości imprez w ostatnich pięciu latach działalności klubu. Po dziś dzień często siadamy ze znajomymi i wspominamy noce sylwestrowe, koncerty, wystawy, Black Day Party czy zwykłe soboty, gdy nogi same niosły do 4 Róż. Ostatecznie w jedną z nich znalazłam tam męża.

Dziś pozostaje tęskne spojrzenie w stronę czarnych okien w kamienicy przy rynku lub porozumiewawcze spojrzenie, gdy mijamy starych klubowiczów wieczorem na ulicach miasta. Chciałoby się zapytać: Dokąd idziesz, przyjacielu? 4 Róż dla Lucienne już nie ma, nie mamy dokąd iść…

Bruno Aleksander Kieć

Głos pomysłodawcy

Klub przez lata swojego istnienia stał sie wizytówką Zieloną Górę. Jego działania oraz przedsięwziecia Kombinatu Kultury wielokrotnie promowały miasto – poprzez ciekawą ofertę kulturalną – na targach w Berlinie, Londynie, Warszawie czy Poznaniu. Na przykład w 2011 r. na targach w Londynie projekty klubu i fundacji prezentowane były na głównym telebimie Polskiej Organizacji Turystycznej: Euro 2012, Kraków, Wrocław i inne miasta.

Wielu bywalców i dziennikarzy, doceniając nasze działania, nazywało nas Prywatnym Domem Kultury. Przez prawie 20 lat pracy zorganizowaliśmy grubo ponad 3 tys. koncertów, spotkań poetyckich, happeningów, bluesowych i jazzowych jamów, wystaw, pokazów filmowych, akcji społecznych. Tworzyliśmy to w klubie i na scenie przy ogródku letnim na deptaku. Wiele osób wspomina koncerty Róże Jazz Festiwal, Festiwal Filmową Górę, Strefę Przyjazną Dzieciom czy biesiady z ogniskami trwające często do późnej nocy. W niektórych imprezach uczestniczyło ponad 400 osób. Dodatkową widownią byli ludzie zasiadający w okolicznych ogródkach w ilości ponad 300 osób. Mieszkańcy uhonorowali nas wieloma nagrodami, m.in. Kociołkami Kulturalnymi za najlepsze imprezy lata w głosowaniu w "Gazecie Lubuskiej".

Kwestia protestujących mieszkańców... Przeciwko istnieniu samego klubu była tylko jedna mieszkanka, która notabene do tego mieszkania sprowadziła się bodajże w 2012 r. W trakcie wakacji drugim protestującym była osoba mieszkająca nad pizzerią. Jednakże te osoby – ich spokój – stały sie swoistym alibi dla urzędników, którzy w poniedziałkowy poranek pragnęli w spokoju, bez ludzkich skarg i protestów wypić poranną kawę. W efekcie ich działań zielonogórska starówka z roku na rok się wyludniała. W chwili obecnej letnie ogródki w piątkowy ciepły letni wieczór często świecą pustkami lub są zamknięte, zaś nad deptakiem zaległa cisza radująca urzędników oraz dwójkę protestujących. Nastąpiła degradacja klubowej kultury. W przeciągu ostatnich 10 lat z mapy miasta zniknęło osiem klubów, miejsc będących czynnikiem kulturotwórczym...

Sumując, przez lata w ciekawy sposób kreowaliśmy kulturę naszego miasta. Uczyliśmy młodych ludzi otwarcia na różnorodność. Byliśmy argumentem dla wielu młodych, wybierających Zieloną Górę do dalszego kształcenia się na Uniwersytecie Zielonogórskim. Młodzi Lubuszanie robią wszystko, aby studiować w miastach, których centra tętnią życiem, na każdej ulicy są kluby czy puby, w których można posłuchać dobrej muzyki. Wszędzie. Tylko nie w Zielonej Górze, ponieważ jak twierdzą, tutaj nie dzieje się nic. Niektórzy Zieloną Górą nazywają wprost – kulturalną umieralnią.

Małgorzata Ziemska

Przygoda z muzyką

W poprzednim numerze zamieściliśmy część pierwszą artykułu o zielonogórskich zespołach młodzieżowych w latach sześćdziesiątych XX wieku – m.in. o Świstakach, Jolanach i Wagantach.

Współtwórca grupy Jolanie ciągle myślał o realizacji własnych idei muzycznych. Tak w 1974 r. powstał Układ. Do współpracy w zespole Ryszard Łomski zaprosił młodych muzyków. Byli to: Marek Kukanow, Ryszard Zembrzuski, Andrzej Gajda, Marek Rutkowski oraz wokalistki: Barbara Napierała i Danuta Maciejewska. Założyciel zespołu sam komponował piosenki. Był pewien obranej drogi. Cóż, wypada powtórzyć za Wergiliuszem – „Audaces fortuna iuvat" (Śmiałym szczęście sprzyja).

Piosenką „Spóźniony przechodzień" (tekst i muzyka R. Łomski) zespół wygrał ogólnopolskie eliminacje na występ w wieczorze debiutów na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu 1975 r.

To był sukces

którego do tej pory nie powtórzył żaden zielonogórski zespół. Do konkursu „Po raz pierwszy w Opolu – Debiuty 1975" zakwalifikowało się dwunastu młodych wykonawców, wyłonionych na drodze surowych eliminacji ogólnopolskich. To były doskonale zapowiadające się osobowości muzyczne, między innymi Małgorzata Ostrowska, Grażyna Łobaszewska czy Alicja Majewska. Dla zielonogórskiego zespołu występ przed tak dużą publicznością był sporym przeżyciem. Ze sceny popłynęła nastrojowa piosenka „Spóźniony przechodzień", niewątpliwie jedna z najlepszych kompozycji w opolskim Koncercie Debiutów, mocno związana z naszym miastem. Szczególnie zapadał w pamięć melodyjny refren: "Bo w taką noc nie sypiam nigdy, bo w taką noc sen nie chce przyjść, bo w taką noc najłatwiej mi z najprostszych słów układać rym". A jednak zmienione w ostatniej chwili przez organizatorów ustawienie, mocne przesunięcie gitarzystów i całej grupy wokalnej w lewo, w stosunku do wzmacniaczy nagłaśniających i perkusji, sprawiło, że muzycy nie słyszeli siebie nawzajem i ciekawa kompozycja straciła na uroku. R. Łomski wspomina, że słyszał swoją gitarę w partiach solowych tylko dlatego, że Marek Sterna, zielonogórzanin, będący wówczas akustykiem Skaldów, pożyczył mu przed koncertem pedał wahwah, który po włączeniu podbijał moc gitary, ale również psuł jej czytelność. Po odsłuchaniu nagrania z występu w rozgłośni Polskiego Radia w Opolu zielonogórscy muzycy zauważyli, że gitary akompaniujące M. Rutkowskiego i M. Kukanowa, pełniące ważne funkcje rytmiczne, nie były słyszane, co stanowiło niewybaczalny błąd ze strony obsługi, czuwającej nad nagłośnieniem festiwalu. Na dodatek, jakby zgodnie z koncepcją przygotowanego przez Olgę Lipińską widowiska – w końcu był to „feralny XIII festiwal" (podobno na scenie pojawił się nawet czarny kot), choć prowadząca koncert Krystyna Sienkiewicz żartobliwie „odczyniała gusła i czary", zielonogórski zespół prześladował pech – tuż przed występem w Opolu złamał rękę perkusista R. Zembrzuski, z którym zespół był dobrze zgrany i przeszedł wszystkie eliminacje. Na jego miejsce, dosłownie po dwóch próbach, gdyż nie było czasu na dłuższe przygotowania, wystąpił inny perkusista z Zielonej Góry. Sytuacja była tak nieoczekiwana że nawet prowadzący, zapowiadając zielonogórskich wykonawców, podali nazwisko R. Zembrzuskiego. Występ w Opolu skłaniał do podsumowań. R. Łomski, założyciel i lider Układu, doceniał potencjał swojego zespołu, który prócz dobrego poziomu instrumentalistów pod względem wokalnym był zdecydowanie najmocniejszą zielonogórską formacją muzyczną. Uważał zatem, że sukces to kwestia czasu, ale zrozumiał też smutną prawdę: najpierw należy zainwestować w profesjonalny sprzęt. W czerwcu 1976 r. R. Łomski wraz z Emilem Czerniwczanem, grającym wówczas w poznańskiej orkiestrze Maliszewskiego, oraz z występującym również w opolskim Koncercie Debiutów liderem zespołu Kafar z Ostrowca Świętokrzyskiego, Bogdanem Kot-Mazurkiewiczem, znakomitym muzykiem i wokalistą, wyjechał na kontrakt do Finlandii. Wyjechał tylko po to, by uzyskać pieniądze na zakup instrumentów i nagłośnienia, a jednak – podobnie jak E. Czerniwczan – założył tam rodzinę i pozostał na całe życie. W 1976 r. zespół

Układ zakończył swoją działalność

Jak potoczyły się losy tych, którzy wraz z innymi tworzyli muzyczną historię naszego miasta na przełomie lat

Jolanie 1967 (od lewej): Włodzimierz Żurawski, Emil Czerwniwczan, Tadeusz Sroczynski, Edmund Witczak i Ryszard Łomski. W 1966 r. zespół tworzyli: Bogdan Springer, R. Łomski, E. Czerniwczan, T. Sroczyński i W. Żurawski.

Jolanie 1968 (od lewej): Tadeusz Sroczyński, Emil Czerniwczan, Henryk Łużny, Ryszard Łomski i Daniel Herasimenko

sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Koledzy ze Świstaków, M. Murzyński i T. Sroczyński, aktywnie włączyli się w działalność Lubuskiego Klubu Jazzowego, funkcjonującego jako sekcja Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego. M. Murzyński zmarł w 2009 r., w miesiąc po spotkaniu Świstaków, które sam zorganizował. J. Motała stosunkowo wcześnie zakończył swoją przygodę z muzyką i poświęcił się pracy zawodowej. P. Kafarski to obecnie ceniony polski chemik, specjalizujący się w chemii organicznej i bioorganicznej. B. Springer, członek pierwszego składu zespołu Jolanie, laureat Festiwalu Muzyki Nastolatków 1966, uczestniczył jeszcze w Festiwalu Piosenki Studenckiej. Zielonogórzanin, inżynier z wykształcenia, do dzisiaj chętnie komponuje, z upodobaniem oddaje się fotografii. D. Herasimenko, zdolny muzyk i kompozytor, i R. Januszkiewicz, znakomity perkusista z Lubuszy, Jolan i Wagantów, przez pewien czas grali w Finlandii. Później pierwszy z nich pracował z zespołem muzycznym w Austrii, USA i w Szwajcarii, by na stałe osiąść w Warszawie, drugi zamieszkał w Holandii. W. Żurawski występował w wielu krajach ze znaną orkiestrą kameralną Jerzego Maksymiuka, a następnie z orkiestrą Sinfonia Varsovia, w której gra do dzisiaj. Poza Polską nagrał ponad 300 płyt z różnymi światowymi sławami. Z. Judkowiak był członkiem Zielonogórskiej Grupy Muzycznej Piotra Studzińskiego. Nadal czynnie uprawia muzykę. E. Witczak poświęcił się pracy zawodowej, ale wciąż nie zapomina o gitarze. Byli członkowie zespołu Układ, M. Kukanow i R. Zembrzuski, byli zatrudnieni na kontrakcie w Finlandii. M. Zembrzuski pracował również we Francji, Niemczech, Serbii i Chorwacji. Obecnie nadal udziela się muzycznie w Zielonej Górze. A. Gajda występował w zespole Weekend, Grupie Plus. Założył kapelę Grupa Rogala, która działa do dzisiaj. Przez trzydzieści lat pracował w Polskim Radiu i Telewizji. Obecnie jest lektorem filmowym. M. Rutkowski uczył gry na gitarze w Żaganiu. Od prawie dwudziestu lat jest dyrektorem gimnazjum w Zgorzelcu. Pracował także zawodowo w Niemczech jako muzyk. Znana wielu zielonogórzanom wokalistka, B. NapierałaMarciniak, zginęła tragicznie w 1994 r. Druga z wokalistek zespołu Układ, D. Maciejewska-Stec, nadal występuje od czasu do czasu jako piosenkarka. Autor wspomnień, R. Łomski, wraz z E. Czerniwczanem i dwoma muzykami z Poznania, Romualdem Bartuschem i Leonardem Zakrzewskim, stworzyli kwartet The Sound. Zespół występował przez trzydzieści lat na promach pasażerskich Viking Line, kursujących pomiędzy Finlandią a Szwecją oraz Finlandią a Estonią. The Sound należał do czołówki tego typu zespołów muzycznych w Finlandii i został zatrudniony w Viking Line jako jedyny stały zespół muzyczny na etacie. R. Łomski pozostał wierny muzyce. Nadal komponuje, pracując we własnym studio muzycznym.

Historia pierwszych zielonogórskich zespołów młodzieżowych oraz biogramy muzyków czekają na rzetelne opracowanie. Bez względu jednak na to, jak potoczyły się losy utalentowanych członków grup bigbitowych, warto o nich pamiętać, warto pionierów zielonogórskiej muzyki młodzieżowej uhonorować w naszym mieście. Warto pamiętać, że stworzony przez R. Łomskiego Układ jako jedyny do tej pory zielonogórski zespół, wyłoniony na drodze surowych eliminacji ogólnopolskich, reprezentował nas na deskach opolskiego festiwalu, występując w 1975 r. w wąskim gronie najlepiej zapowiadających się polskich solistów i zespołów.

Tekst powstał w oparciu o wspomnienia Ryszarda Łomskiego

Układ wykonywujacy piosenkę "Spóźniony przechodzień" na festiwalu Opole '75: (od lewej) Ryszard Łomski, Marek Rutkowski, Marek Kukanow, Danuta Maciejewska-Stec i Barbara Napierala-Marciniak. (Poza zdjeciem Franciszek Stolarz, Andrzej Gajda i Tadeusz Krys.)

Sylwester Woźniak
Tomasz Kowalski

Zaczęło się w Gębie

Lata 70. XX wieku w Zielonej Górze to okres, kiedy narodziło się życie studenckie. Następna dekada kojarzy się ze stanem wojennym oraz demontażem systemu komunistycznego w Polsce i z pustymi półkami w sklepach. Natomiast w Winnym Grodzie niejako był to okres kontynuacji rozpoczętego dziesięć lat wcześniej życia kulturalnego, z tym że nastąpiło jego znacznie ożywienie.

Za datę przełomową należy uznać rok 1984, kiedy klub studencki Chochoł zmienił nazwę na Gęba, w której narodził się współczesny zielonogórski ruch kabaretowy. Zmiana nazwy klubu była spowodowana tym, że stary Chochoł został przejęty przez nowy zespół, złożony z ludzi, którzy postanowili rozwijać swoje zainteresowania artystyczne. Nazwa Gęba została wymyślona przez Ewę Sopielewską, która była pierwszą kobietą w słynnym już kabarecie Potem. Kierownikiem nowego klubu został Dariusz Kamys (zwany Kamolem). W skład ekipy, która przejęła stary klub, wchodzili również Władysław Sikora i Krzysztof Langer.

Pierwszym i najważniejszym kabaretem, który powstał w Gębie, była grupa Potem, zaczęła funkcjonować niemal z otwarciem tego klubu, jednak paradoksalnie jej pierwszy występ odbył się w Zatemie. Jej współliderem był Krzysztof Langer, lecz 1986 r. postanowił założyć własny kabaret Paka, nawiązujący nazwą do krakowskiego Przeglądu Kabaretów Amatorskich „Paka". Langer odszedł z formacji Potem, a obowiązki lidera zostały przejęte przez Władysława Sikorę. W tym samym roku grupa Potem wygrała Pakę, co było sporym wyróżnieniem w świecie twórców kabaretowych. Grupa sukces powtórzyła w 1987 r., co jedynie świadczy o jej wysokim poziomie artystycznym.

Luka powstała w wyniku zawieszenia działalności kabaretu Potem w 1988 r. została szybko zapełniona. Wówczas powstała formacja o nazwie Drugi Garnitur. W jej skład wchodzili: Adam Nowak (obecnie zespół Raz, Dwa, Trzy), Joanna Kołaczkowska (obecnie kabaret Hrabi), Tomasz Kowalski (obecnie kabaret Ciach), Zdzisław Haczek (obecnie redaktor „Gazety Lubuskiej"), Remigiusz Kot (obecnie energoterapeuta), Wito Wróblewski-Gerle (nie wiadomo, co robi), Krzysztof Jenek (mieszka w Australii i zajmuje się ogrodami), Andrzej Jakubowski (wtedy grał na akordeonie, obecnie nie wiadomo). Działalność grupy została zainspirowana pomysłem Dariusza Kamysa, który znalazł książkę z wierszami socrealistycznymi i postanowił wystawić je na scenie. Po powołaniu D. Kamysa do wojska opiekę artystyczną nad nową grupą przejął W. Sikora. Repertuar Drugiego Garnituru został gorąco przyjęty przez publiczność. Kabaret ten szybko zdobył również uznanie w kraju i zdobył liczne nagrody, np. w 1988 r. Grand Prix na Pace, w tym samym roku wygrał Festiwal Młodzieży Akademickiej „Fama" w Świnoujściu.

Pod koniec lat 80. XX wieku w Gębie nastąpił prawdziwy wysyp kabaretów. Wówczas to swoją działalność rozpoczęły m.in.: Barszcz z Krokietem prowadzony przez D. Kamysa, który przedstawiał we własnej interpretacji repertuar Teatrzyku Zielona Gęś Gałczyńskiego, Stajnia Niemożliwych, Dybuk, Uzębienie Dżordża Majkela – znany z krótkich piosenek. Warto szerzej opowiedzieć o formacji Kibuc, składającej się z trzech do czterech osób (liderami byli Adam Nowak i Mariusz Dudkowiak), która organizowała krótkie, trwające raptem kilka minut przedstawienia, polegające na tym, iż zza kotary, zawieszonej niczym w kabinie wyborczej, wychylał się aktor, który wypowiadał zdanie lub wydawał nieartykułowane dźwięki i się chował. Całość, ale z nowym repertuarem, była powtarzana kilka razy. Tego rodzaju przedstawienie spotykało się z uwielbieniem lub z niezrozumieniem widzów. Równie zwariowanym pomysłem były tzw. Pięterka, które polegały głównie na występach poza sceną, szumnych zapowiedziach jakiegoś skeczu oraz na krótkim wystąpieniu aktora na scenie nawiązującym do zapowiedzi. Wszystkie te projekty opierały się na połączeniu absurdu, eksperymencie scenicznym oraz abstrakcyjnym poczuciu humoru.

Należy wspomnieć o licznych inicjatywach podejmowanych w ramach funkcjonowania Gęby. Do ciekawszych należała m.in. rekonstrukcja bitwy pod Grunwaldem, która polegała na tym, iż w kartonowych zbrojach z kartonowymi mieczami pojedynkowali się kartonowi rycerze w dawnym lasku przed akademikiem Vice Wersal. Innym pomysłem był Festiwal Piosenki Afrykańskiej, który był mniej lub bardziej ukrytą aluzją do odbywających się wówczas w Zielonej Górze Festiwali Piosenki Radzieckiej. Ponadto organizowano różnorakie parodie, np. kołobrzeskiego Festiwalu Piosenki Wojskowej, gdzie jednym z rekwizytów był czołg wykonany z kartonu, z klapą od sedesu jako włazem. Dużym wyzwaniem dla kabareciarzy była „Premiera w 3 dni", która polegała na tym, że pierwszego dnia pisano program, drugiego uczono się tekstu, zaś ostatniego wystawiano przedstawienia. Inną formą artystycznej inicjatywy były Dziadowskie Czwartki, które odbywały w ośrodku akademickim położonym w parku Tysiąclecia (w dawnym krematorium). W. Sikora podawał temat czwartkowego spotkania, np. wampiryczny czy kryminalny, a pozostali artyści musieli stworzyć swoje programy w tej konwencji. W tych spotkaniach brały również udział liczne gwiazdy ówczesnej kultury studenckiej spoza Winnego Grodu, które stanowiły atrakcję wieczoru.

W ciągu lat 80. XX wieku zielonogórskie środowisko kabaretowe znacznie się rozszerzyło i wrosło w ogólnopolskie życie artystyczne. Różnorodnych inicjatyw oraz małych grup kabaretowych było tak wiele, że trudno je wymienić w jednym krótkim artykule. Ciągle trwał artystyczny ferment. Główną postacią środowiska był W. Sikora, który wymyślał rozmaite projekty, organizował je i twórczo rozwijał. Napisał książkę, w której zawarł teorię kabaretu, pozwoliła ona zaistnieć na scenie licznym studenckim grupom. Przełom polityczny i społeczny, jaki nastąpił w 1989 r., nie miał najmniejszego wpływu na funkcjonowanie zielonogórskiego środowiska kabaretowego. Pierwsze zmiany nastąpiły po 1994 r., kiedy to zaczęły powstawać nowe kabarety zakładane przez pokolenie, które miało odmienną wizję świata. Jednak jest to już całkiem inna opowieść.

Alicja Błażyńska

Galeria była fanaberią

15 września 2017 r. otwarto ostatnią wystawę w Galerii u Jadźki. Pokaz obrazów Doroty Falkowskiej-Adamiec zakończył działalność pierwszej, stricte prywatnej galerii sztuki w Zielonej Górze. Jej kreatorką i właścicielką była Jadwiga Bocho-Kokot, postać charyzmatyczna, twórcza, umiejąca jak mało kto skupiać wokół salonu ludzi sztuk wszelakich i tych, którzy bez sztuki żyć nie potrafią.

Ponad trzy miesiące później rozmawiam z Jadźką w jej mieszkaniu, z okien którego widać i kominy Rockwoola, i złote kopuły cerkwi, i Wieżę Braniborską. Zanim się rozgadamy, upływają dwa kwadranse. Bo musi być kawa z tygielka i ciasto. Początek wspomnień burzą też telefony. Co rusz dzwonią chętni na ostatni występ kabaretu. Po wyciszeniu delikatne sygnały SMS-ów świadczą o nieustępliwości przyjaciół.

Galeria po raz pierwszy

Jadźka związała się z Zieloną Górą w 1974 r. Na początku drogi zawodowej zajmowała się aranżacją wnętrz sklepowych, projektowała stoiska wystawowe i targowe. Tam wypatrzył ją Marian Szpakowski i ściągnął do pracy w BWA, i tak oto rozpoczęła się jej przygoda z wystawiennictwem. Kiedy w 1983 r. Pracownie Sztuk Plastycznych (podległe ZPAP) otwierały swoją galerię przy ul. Żeromskiego, Jadwiga Bocho-Kokot zdecydowała się na podjęcie tam pracy w charakterze ajentki. Na początku z Haliną Gałką, a potem już samodzielnie prowadziła salon. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych, na fali przemian restrukturyzacyjnych, sprywatyzowała galerię i rozpoczęła własną działalność na rynku sztuki. Ten krok spotkał się z ostrą reakcją zielonogórskiego środowiska artystycznego, które czuło się właścicielem obiektu. Z dnia na dzień ze ścian salonu zniknęły wszystkie obrazy zabrane przez lokalnych twórców. Niewiele osób wówczas popierało poczynania Jadźki i przyszło się jej zmierzyć z falą niechęci. – Miałam chwile ogromnego zwątpienia – wspomina – Wojna trwała rok. Bardzo trudny rok.

Galeria po raz drugi

Znowu zaczynała niemal od początku. Miała co prawda lokal, ale dotykający ją ostracyzm wymusił otwarcie podwojów galerii na zewnątrz. Pierwszą wystawą po prywatyzacji był pokaz prac Henryka Mądrawskiego z Gdańska, kolejną – Doroty Falkowskiej-Adamiec z Krakowa. Potem już poszło. Rocznie w salonie odbywało się 12, 15, a w lepszych latach nawet 17 nowych prezentacji. Przez 34 lata działalności Jadźka zorganizowała ich blisko 500. Jedne otwierały drogę młodym twórcom, inne pokazywały dokonania mistrzów. Galeria włączała się w ważne cykle artystyczne miasta, jak choćby Biennale Sztuki Nowej, współpracowała z Muzeum Ziemi Lubuskiej i BWA.

Organizowane przez Jadźkę wernisaże stawały się wydarzeniami artystycznymi. W klimatycznych wnętrzach spotykała się ówczesna bohema zielonogórska. Literaci, dziennikarze, aktorzy. Rozmawiano, kłócono się, spędzano czas. Na piecu akumulacyjnym stał czajnik będący stale w użyciu. Bywanie w galerii stało się wyznacznikiem pewnej elitarności, kartą wstępu do grona wybranych, a zakup dzieła sztuki nobilitował towarzysko. Wielu gości wciąż wspomina rytuały związane z tym miejscem: coroczną Wigilię czy bale przebierańców. A przecież oprócz wystaw odbywały się tu imprezy muzyczne czy promocje książek, jak choćby Henryka Ankiewicza, wiernego bywalca.

Działalność galerii nabierała rozpędu, salon miał już swój znak graficzny, na każdą wystawę osobne zaproszenia, a na niektóre nawet katalogi. Z początku trochę siermiężne – jak ówczesna rzeczywistość – z czasem wysmakowane i barwne. Jakby dla kontrastu kolorem wyposażenia lokalu była czerń. Wnętrze uzupełniał bar i pianino Calisia o pięknym dźwięku. Instrument wybrał Jurek Bechyne, odnowił i pomalował… oczywiście na czarno. Po jego przedwczesnej śmierci Maciej Wróblewski ozdobił je tabliczką z Jurka imieniem. Krótko po pogrzebie któryś z przyjaciół przyniósł grubą świeczkę i postawili na pianinie. Została po niej dziura. Znak będący wspomnieniem człowieka ważnego dla galerii. Podobnych opowieści Jadźka ma w zanadrzu mnóstwo.

Galeria po raz trzeci

W 1998 r. Galeria u Jadźki opuściła dotychczasowe lokum. Lokal został wynajęty bankowi, a salon przeniesiono piętro wyżej. Wejście do niego było teraz od podwórka. Przeprowadzka początkowo nie służyła galerii. Zmniejszyła się liczba klientów i zwiedzających. Chcąc temu zaradzić właścicielka we właściwym sobie stylu organizowała życie kawiarniane. Jego naturalnym następstwem było zawiązanie się kabaretu.

Kabaret Galerii W sam raz – jak wspomina Jadźka – wziął się z niczego, z takiego gadania przy stole. Pierwszy sygnał dała Beata Bartosiewicz (córka red. Haliny Ańskiej, pomysłodawczyni kabaretu Hak), która słysząc galerniczkę śpiewającą Hiszpankę z Bujery, powiedziała – Zrobimy tu kabaret. Pomysł chwycił, wokół inicjatywy pojawiło się mnóstwo ciekawych, kreatywnych osób. Zespół tworzyli zarówno artyści teatralni, muzycy, jak i amatorzy, wśród których szczególny ton nadawali dziennikarze, prawnicy i politycy. Grając dla publiczności sami bawili się świetnie.

Występy kabaretu odbywały się w przestrzeniach galerii, a z czasem również na podwórku, które przebudowane amfiteatralnie stało się idealnym miejscem do organizacji imprez plenerowych. Idąc za ciosem rozpoczęto kolejną formę aktywności – realizację pełnych rozmachu spotkań z cyklu Lato z Galerią u Jadźki. Bywały takie letnie sezony, że niemal codziennie odbywały się dwa koncerty pod gołym niebem, w latach chudszych bawiono się „tylko" w weekendy. Wierną publiczność miał doroczny konkurs kiszenia ogórków, czule do dziś wspominane są milongi, no i oczywiście koncerty znakomitych artystów znanych w kraju. Nie zapominano też o miejscowych aktorach, kabaretach, muzykach czy tancerzach.

Chcąc podołać wszystkim zadaniom w 2005 r. utworzono Stowarzyszenie Kulturalne „Galeria" pomagające pozyskiwać środki z instytucji miejskich, wojewódzkich, od przedsiębiorstw czy osób prywatnych. Publiczność realizująca swoje artystyczne potrzeby w kontakcie z obrazam, bawiąca się dobrze przy kabarecie albo muzyce nie zdawała sobie sprawy, jak trudno było niekiedy powiązać koniec z końcem. Szczególnie, gdy miejskie instytucje zredukowały swoją pomoc. Prężna działalność trwała jeszcze blisko dekadę.

Galeria po raz czwarty?

Jadźka co rusz podchodzi do okna balkonowego, przegania natrętne gołębie. Zapytana, czy ma jakiś pomysł na przyszłość, odpowiada: – Muszę się czymś zająć, bo zwariuję.

I jeszcze jedno zdanie powtarza jak mantrę: – Strasznie dużo zawdzięczam mojemu mężowi. On mi w życiu zezwolił na wolność. Galeria była fanaberią, i on mi na to pozwolił.

Izabela Korniluk

Grünberski wydawca pocztówek

Przedwojenną Zieloną Górę znamy z pięknych wydawnictw pocztówkowych. Za wieloma widokami kryją się konkretni, często anonimowi dla nas, fotografowie i wydawcy. Do jednych z najbardziej znanych wydawców należał Paul Mohr.

Paul Mohr urodził się 11 września 1871 r. w Zielonej Górze. Był synem Friedricha Mohra i Christine Mohr z domu Urlich.

Ojciec Paula był handlarzem węgla. Posiadał punkt sprzedaży przy Niedertorstrasse (obecnie ul. Żeromskiego), gdzie prowadził solidny i dobrze prosperujący biznes. Matka zajmowała się domem i dziećmi, ponieważ oprócz Paula Mohrowie mieli jeszcze córki Emmę i Martę. Jedyny syn nie poszedł w biznesowe ślady ojca, gdyż ten dał mu wyraźnie do zrozumienia, iż jako handlarz i sprzedawca węgla kariery w życiu nie nigdy zrobi. Dlatego też Paul postanowił kształcić się na introligatora i drukarza.

Podczas nauki zawodu Paul Mohr jeździł po różnych zakładach introligatorskich w kraju, gdzie odbywał praktyki zawodowe i pracował. Pod koniec XIX wieku przyjechał do Luckau (niedaleko Bad Muskau), by tam zacząć pracę w introligatorni zamożnego i szanowanego obywatela tego miasta - drukarza Moritza Natuscha. W firmie poznał swoją przyszłą żonę Klarę Natusch, córkę właściciela drukarni. Postanowił się z nią ożenić i wrócić do Zielonej Góry, by tam rozkręcić swój własny biznes. W 1900 roku Klara i Paul pobrali się w kościele Zum Garten Christi w Zielonej Górze (obecnie kościół pw. Matki Boskiej Częstochowskiej).

Klara pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny. Można stwierdzić, iż Paul dobrze się ożenił, ponieważ jego teść, by zapewnić dobrobyt swojej córce w obcym mieście, sfinansował Paulowi budowę domu, sklepu papierniczo-galanteryjnego oraz drukarni. I tak powstała w przedwojennym Grünbergu kamienica przy Niedertorstrasse 10, która stoi do dziś. Na tyłach domu wybudowano drukarnię (obecnie uliczka prowadząca do placu Powstańców Wielkopolskich i budynek gdzie mieści się jeden z banków).

Warto dodać, iż P. Mohr wraz z małżonką zamieszkali w sąsiedztwie jego rodzinnego domu, gdyż ten znajdował się również przy Niedertorstrasse. Mieszkali tam jego rodzice oraz siostra Emma, która wyszła za mąż za handlarza meblami Paula Sandera, z którym miała córki Martę i Hanni. Druga z sióstr – Marta – poślubiła Waltera Eppersa. Z tego małżeństwa urodziły się dwie córki. Rodzina mieszkała w Lipsku.

Ze związku Klary i Paula Mohrów urodzili się synowie: Richard (ur. 29 grudnia 1901), Fritz (23 października 1904) i Georg (18 grudnia 1906). Wszyscy, gdy podrośli, poszli w ślady ojca i zaczęli naukę w zawodzie drukarza. Richard kształcił się w Naumburgu nad Soławą i we Wrocławiu, Fritz w Bolesławcu, a najmłodszy Georg w Langenbilau.

Firma, sklep i drukarnia P. Mohra w Zielonej Górze były bardzo dobrze znanym i wyśmienicie prosperującym przedsiębiorstwem. Wydawanie

Personel przed sklepem Paula Mohra, lata 20. XX w. (obecnie ul. Żeromskiego 18)

pocztówek z wizerunkami miasta było jednym z wielu zajęć Mohra, jednak bardziej skupiony był on na drukarstwie, introligatorni, sprzedaży książek i różnorakich materiałów papierniczych oraz galanterii. O najistotniejszych zainteresowaniach tego przedsiębiorcy świadczą szyldy nad jego sklepem „Paul Mohr Papierhandlung und Buchbinderei" (Paul Mohr sklep papierniczy i introligatornia) i na pocztówkach reklamowych „Paul Mohr / Grünberg in Schlesien Papierfabrik/Papier-und Schreibwaren, Großhandlung / Buchdruckerei / Buchbinderei / Kartonage / Buhhandlung" (Fabryka papieru / hurtownia papieru oraz materiałów do pisania / drukarnia / introligatornia / kartoniarnia / księgarnia).

Paul Mohr z synami i ojcem. W dolnym rzędzie siedzą, od lewej: Paul Mohr i jego ojciec Fritz oraz syn Richard. W górnym rzędzie stoją synowie Friedrich i Georg. Zdjęcie pochodzi z końca lat 30. XX wieku.

W sklepie Mohra, gdzie pracował dość liczny personel, można było kupić wszystko to, co dziś kupujemy w sklepie papierniczym: ołówki, zeszyty, pióra, kredki, farbki, listowniki, koperty, linijki itp. Na parterze jego posesji znajdował się sklep, a na pierwszym piętrze urządzono obszerne i okazałe mieszkanie. Jak na ówczesne standardy posiadało ono wszelkie wygody, gdyż znajdowały się tam komfortowo urządzone pokoje, kuchnia, osobo ubikacja i łazienka ze sporą wanną. Na drugim piętrze znajdowały się służbówki i pokoje dla pracowników drukarni oraz ekspedientek, na poddaszu było miejsce wypoczynku i rekreacji.

Klara początkowo pomagała mężowi w sklepie nim firma nie rozwinęła skrzydeł. Zajmowała się handlem oraz wszelkimi sprawami logistycznymi – obsługą klientów, jak i przyjmowaniem zleceń i zamówień. To ona wpadła na pomysł, by drukarnia męża produkowała papier listowy i koperty z logo największych zielonogórskich firm: Beuchelt & Co, Deutsche Wollenwaren Manufaktur, Scharlachberg, Grempler-Sekt, Raetsch Cognac. Firma zaopatrywała nie tylko lokalnych klientów, ale także obsługiwała całe Niemcy. Przedsiębiorstwo wysyłało swoje wyroby nawet do Jerozolimy, z czego szef był bardzo dumy.

Rodzina i firma P. Mohra były w Zielonej Górze bardzo cenione i poważane. Paul prowadził swój sklep na wysokim poziomie, a zważywszy na fakt, że zajmował się dodatkowo fabryką i drukarnią, dużo czasu spędzał w pracy. Jak wspomniano, pomagali mu jego synowie. Gdy najstarszy, Richard, zatrudnił się w firmie Vahland w Bremie, interes przejął Fritz, a Georg był odpowiedzialny za kontakt z klientami.

Richard Mohr w 1926 r. ożenił się z zielonogórzanką Gertrud Zieliński. 15 maja 1937 r. przyszedł na świat ich syn Hans Joachim. Małżeństwo nie trwało długo, gdyż para się rozwiodła w 1941 r. Jednak już w następnym roku Richard ożenił się z Helene Tietjen. Z tego związku 13 maja 1944 r. urodził się Werner.

Drugi z synów, Fritz, ożenił się w 1942 r. z Ingram Gerken z Hamburga. Najmłodszy Georg nie zawarł związku małżeńskiego. Z trzech potomków P. Mohra wojnę przeżył tylko Richard. Fritz zginął w 1945 r. w walkach o Berlin, Georg poległ zimą 1944 r. koło Leningradu.

Paul Mohr to niepospolita osobowość. Był pracowity i zdyscyplinowany. Miał niezwykłą zdolność – potrafił wykonywać trudne działania matematyczne w pamięci. Reszta rodziny zachwycała się jego zdolnościami, gdyż przeciętny człowiek obliczając trudne rachunki dla pewności zapisuje obliczenia na kartce. Paulowi to nie były potrzebne, ponieważ wszystkie działania, nawet te trudne i skomplikowane, wykonywał w pamięci. Lubił także gimnastykę. Nawet w dojrzałym wieku każdego tygodnia uprawiał sport. Zachęcał do wykonywania ćwiczeń na drążkach, kozłach, linkach itp., wynajmując raz w tygodniu dla członków rodziny oraz pracowników swojej firmy salę gimnastyczną, gdzie bez reszty mogli się oddawać pasji. Sfinansował nawet dla swojej drużyny stroje gimnastyczne z logo firmy.

Oficjalnie firma Paula Mohra zakończyła działalność w 1944 r., kiedy to do Zielonej Góry dotarły wieści o zbliżającym się froncie i możliwym wkroczeniu armii sowieckiej na tereny Rzeszy. Rodzina spakowała rzeczy i wyjechała do Luckau, rodzinnego miasta żony Paula. Tam zostali przyjęci przez teściów i postanowili przeczekać ten niepewny czas. Jednakże wiadomości, jakie dochodziły do Mohra o sytuacji w 1945 r. w Zielonej Górze, żal za utraconym dziedzictwem, firmą, domem oraz świadomość, iż cały dorobek zostanie zniszczony sprawiły, że P. Mohr zmarł 7 marca 1945 r. w Luckau, gdzie został pochowany.

Nam pozostały po jego firmie piękne widokówki przedwojennego Grünberga.

Wszystkie informacje i dane zaprezentowane w artykule autorka uzyskała z rozmowy przeprowadzonej z wnukiem Paula Mohra – Wernerem Mohrem – odbytej 21 września 2017 r. w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze oraz z pamiętnika ciotki Wernera Mohra – Lotti. Zdjęcia rodzinne Paula Mohra ofiarowane zostały autorce przez Wernera Mohra z pozwoleniem na ich publikację.

Grzegorz Biszczanik

Krępa – papiernicze dobro miasta

Od 2015 r. Krępa jest jedną z dzielnic wielkiej Zielonej Góry. Z naszym terenem związana była jednak już od początków swojego istnienia, a od XVI wieku była nawet własnością miasta.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie powstała Krępa. Najprawdopodobniej było to w XIII lub na początku XIV wieku – po raz pierwszy w dokumentach nazwa Krampe pojawia się w 1430 r. Była to mała wieś, jednak na tyle ważna dla miasta, że rada miejska postanowiła ją kupić od cesarza Rudolfa II wraz z okalającymi ją terenami rolnymi, stawami, karczmą, winnicami i Lasem Odrzańskim (Oderwald). Zaowocowało to stopniowym rozwojem wsi i zarazem wzrostem dochodów miasta, których dostarczał m.in. funkcjonujący we wsi młyn papierniczy.

Pierwszy raz w księdze dochodów magistratu młyn papierniczy pojawił się w 1613 r. Widnieje zapis, że zysk ze sprzedaży wyprodukowanego papieru wynosił 1370 talarów. Młyn założono w połowie XVI w. z inicjatywy rady miejskiej Zielonej Góry. Znajdował się nad dolnym stawem młyńskim, gdzie wcześniej stał młyn zbożowy. Budynek ten jednak nie przetrwał pożaru, który miał miejsce w 1681 r. Został odbudowany w konstrukcji szachulcowej, powiększono go wówczas o dodatkowe piętro. W 1763 r. papiernia została przeniesiona nad górny staw. W 1845 r. budynek postanowiono zburzyć (zachowując, istniejące do dziś, piwnice) i wybudować nowy młyn papierniczy wyposażony w maszynę parową o mocy 14 koni mechanicznych. Trzecia rozbudowa została przeprowadzona w 1907 r. Wówczas zakład unowocześniono wprowadzając lepsze maszyny. Być może jednym z powodów rozbudowania papierni był fakt powstania w Zaborze (Saabor) nowego młyna papierniczego, który zaczął stanowić konkurencję dla papierni w Krępie.

Wachlarz działalności krępowskiej fabryki papieru był różnorodny. Produkowano tu papier regaliowy w barwie białej, niebieskiej i szarej, papier kancelaryjny, papier folio, kartony i papier drukarski. Do podstawowych odbiorców produktów z Krępy należały urzędy królewskie i cesarskie z Głogowa (Glogau) i Wrocławia (Breslau) oraz oficyny drukarskie? m.in. z Żagania (Sagan) czy Bolesławca (Bunzlau). Papier eksportowano także do Czech, Polski i Saksonii.

W Krampe znajdował się także leśny ośrodek letnio-wakacyjny dla dzieci z ubogich rodzin. Otrzymywały one pełne wyżywienie i opiekę medyczną. Dbano również o ich rozwój fizyczny i psychiczny poprzez organizowanie zajęć sportowych, zawodów oraz wycieczek.

Przed wybuchem II wojny światowej Krampe zamieszkiwało ponad 650 osób. Co ciekawe, mieszkali oni w budynkach przy papierni i domach prywatnych, a cała wieś liczyła ponad 120 budynków gospodarczych i mieszkalnych. Większość mieszkańców Krampe utożsamiało się z polityką III Rzeszy, masowo wstępując w szeregi NSDAP. II wojna przyniosła jednak ogromne straty wśród miejscowej ludności, gdyż lwia jej część (żołnierze) zginęła na froncie wschodnim. W lutym 1945 r. podczas przełamywania Linii Odry (Oderstellung) przez Armię Czerwoną w pobliskim Lesie Odrzańskim znajdował się magazyn uzbrojenia i dwie niemieckie baterie Flak 88 mm, które ostrzeliwały nacierające wojska radzieckie od strony Cigacic. Wówczas w Krampe nie było już większości mieszkańców. Zostawili swoje dobytki uciekając przed nacierającą Armią Czerwoną. Sama Krampe została zdobyte praktycznie bez walki przez wojska radzieckie.

Panorama Krępy, pomnik poległych mieszkańców wsi w czasie I wojny światowej, ośrodek letni. Karta z obiegu pocztowego, datowana wg stempla 13.10.1922 r. Wydawca Fritz Braden, Grünberg i. Schl., ze zbiorów autora

Po wojnie Krampe została przemianowana na Krępę. Znalazła się w nowopowstałym województwie poznańskim, w granicach gminy Zawada. Wówczas bardzo szybko ponownie uruchomiono papiernię. Nastąpiło to już 15 października 1945 r. Fabryka się usamodzielniła i była użytkowana przez Poznańskie Zakłady Papiernicze, dając pracę wielu mieszkańcom. Sprywatyzowana została 22 czerwca 1992 r., a przestała istnieć pod koniec lat 90. XX w.

Największą ciekawostką Zielonej Góry-Krępy, dotyczącą dawnej papierni, jest to, że wszystkie jej obiekty były położone nad strumieniem Zimna Woda. Jego część była skanalizowana w obrębie fabryki i w dalszym ciągu przepływa on przez część zabudowań.

Z samej papierni przetrwało do niewiele, gdyż na początku XXI w. strawił ją pożar, a kilka budynków zostało wyburzonych. Większa część obiektu jest w rękach prywatnych. Kilka spełnia role warsztatowe i funkcje mieszkalne. Całości jednak nie można zwiedzać...

Irena B. Jamniczek

Jedności 78-80

Był luty… Nadszedł w końcu ten dzień, że powiało zimowym chłodem … Wywołało to w nas niemalże wstrząs, bo przez ostatnie lata odzwyczailiśmy się od minusowych temperatur akurat w zimie. Trzeba było jakoś się ratować. A wiadomo, że dobra strawa to najlepsze wybawienie.

Zanim wystawiliśmy nosy na szczypiący mróz, postanowiliśmy wybrać konkretny cel naszej podróży kulinarnej. Ostatnio była Japonia, a że nam smakowało, postanowiliśmy dalej pójść azjatyckim tropem. W myślach przebiegliśmy deptak, następnie jego okolice, i przypomniała nam się restauracja serwująca również taką kuchnię, usytuowana w budynku pod numerem 80 przy ulicy Jedności.

Historia tego obiektu jest intrygująca. Otóż niegdyś przebiegał w tym miejscu trakt do Berlina, toteż naturalną koleją rzeczy było utworzenie przy nim stacji pocztowo-dyliżansowej. Kiedy Zenobiusz Jungnickel, królewski poczmistrz w Zielonej Górze ogłosił przetarg na prowadzenie „gościńca", wygrał go Fryderyk Wilhelm Dehmel, właściciel nie tylko zakładu wytwarzającego beczki, ale również winnicy na Srebrnej Górze. Postgaststube U Dehmela cieszyła się ogromną popularnością u podróżnych i wśród miejscowych. „Do Dehmela na kubek wina" stało się w przedwojennej Zielonej Górze obiegowym zwrotem. Jak głosi historia, to właśnie tu Karl von Holtei – śląski dramaturg – wpadł na pomysł napisania farsy scenicznej „33 minuty w Zielonej Górze, albo w połowie drogi". W drugiej dekadzie naszego wieku tekst przetłumaczyła i przypomniała Halina Bohuta-Stąpel, a premiera filmu na jego podstawie, kręconego właśnie w tym miejscu, miała miejsce dwa lata temu.

Po wojnie budynek miał różnych lokatorów. W latach 70 i 80. XX stulecia działała w tym miejscu pracownia dekoratorska WPHW, a pod koniec wieku obiekt szczęśliwie trafił w ręce architektów z wizją – Jerzego Gołębiowskiego i Stanisława Kochańskiego. Dzięki ich pracy gmach odzyskał dawną świetność i charakter gastronomiczny. Dziś jest jednym z najpiękniejszych budynków przy Jedności. Cały obiekt złożony jest z dwóch części spojonych bramą, nad którą króluje napis Zajazd Pocztowy. Wewnątrz znajduje się dziedziniec z oczkiem wodnym i zielenią. Od strony ulicy wzrok przyciągają odnowione fasady. Po lewej stronie funkcjonuje biuro notarialne, po prawej Zajazd Pocztowy oferujący usługi hotelowe i restauracyjne z tradycyjną kuchnią polską i chińską. Znajduje się tam również pub, który umieszczono w klimatycznych piwnicach.

Zapytacie, jak wytrzymują starcie potrawy kuchni chińskiej z polskim jadłem? Otóż całkiem nieźle. Po pierwsze, restauracje znajdują się w osobnych pomieszczeniach, różniących się również wystrojem. W zajeździe dominuje bliska nam klasyka dziewiętnastowiecznego dworku polskiego, natomiast w Pekinie wystrój orientalny. Te światy oddzielają od siebie tylko drobna sień i drzwi. Po ich otwarciu znaleźliśmy się w innym miejscu. Zapachy, światła, barwy z najmocnej wybijającą się nutką czerwieni uchodzącej w kulturze Wschodu za kolor najbardziej pomyślny… Początek okazał się zachęcający.

Przemaglowany przez nas na wstępie menedżer sali zdradził, iż szefem kuchni w tym lokalu jest pan Hongbing Li z miasta Nanchang we wschodnich Chinach. Spodziewaliśmy się więc kuchni hunańskiej (Xiang), bardzo pikantnej. Warto wspomnieć, że między regionami Chin występują bardzo duże różnice pod względem używanych składników, przypraw i sposobów przyrządzania. Niemniej jednak Chińczycy przy tworzeniu dania bazują na pięciu fundamentalnych smakach: słodkim, kwaśnym, gorzkim, słonym i cierpkim. Ważne jest zachowanie między nimi równowagi.

Dania kuchni hunańskiej mają specyficzne cechy: ostrość, kwaśny smak i obfitość. Najciekawszymi smakowo dodatkami tej kuchni są: sos ostrygowy, wino ryżowe i skrobia kukurydziana. Nadają one daniom wyrafinowanego smaku. Charakterystyczna potrawa to nasiona lotosów gotowane w cukrze i duszone płetwy rybne, ale tego dania akurat w menu Pekinu nie było. Zdecydowaliśmy się więc na sajgonki, zupę won-ton, kaczkę (a jakże) nanchang oraz kurczaka gu lao, czyli na sposób słodko-kwaśny, wywodzący się z kuchni szanghajskiej. Trzeba przyznać, ze wybór potraw objął wszystkie style chińskiego gotowania.

Przy smacznych potrawach sto pięćdziesiąt minut zleciało jak z bicza trzasnął. Nasz historyk dwoił się i troił, próbując odpowiedzieć na pytania towarzyszek ciekawych miejsca, w którym ucztują, oraz jego odniesień w przeszłości. Przetoczyła się więc nad naszym stołem wojna trzydziestoletnia, funkcjonowanie poczty w dawnych wiekach, ale również i obyczaje religijne oraz polityka Państwa Środka. Stąd był już tylko kroczek w Karakorum i po chwili żyliśmy emocjami związanymi z wydarzeniami wokół K2.

Zajazd Pocztowy *fot. Alicja Błażyńska*

Dorota Brylla

Pierwszy biskup

Tylko tyle zapamiętamy, ile sobie stale będziemy przypominać. Trzeba nam ocalić od zapomnienia jak najwięcej prawd, zdarzeń i ludzi. To wspomnienie poświęcone jest ks. bp. Józefowi Pośpiechowi, słudze Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, który z Zielonej Góry sprawował urząd biskupa diecezji.

Ksiądz biskup Józef Pośpiech urodził się 16 listopada 1930 r. we Wroninie, na Opolszczyźnie. Wyrastał w domu, w którym ewangelickie tradycje były tak żywe, że formowały zarówno charakter, jak i całe życie. Studia odbył na Wydziale Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego. 11 lipca 1954 r. został ordynowany w Zabrzu na księdza Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego i tam też rozpoczął swą służbę duszpasterską. Po dwuletnim wikariacie w Zabrzu przeniesiony został do Wałbrzycha w diecezji wrocławskiej. Tam pracował jako administrator prawie we wszystkich parafiach. Jako proboszcz w Wałbrzychu i Zielonej Górze. Od 31 maja 1981 r. pełnił urząd seniora – zwierzchnika diecezji. Należał do grona najlepszych teologów luterańskich, o głębokiej nie tylko wiedzy teologicznej, ale i wierze.

Uroczystość wprowadzenia ks. Józefa Pośpiecha (pierwszy z lewej, siedzi) na urząd biskupa diecezjalnego w kościele Jezusowym w Zielonej Górze. Uroczystości przewodniczył bp Jan Szarek, biskup Kościoła (z prawej, stoi)

fot. archiwum rodzinne

Po wprowadzeniu nowego Zasadniczego prawa wewnętrznego ks. Pośpiech został wybrany przez synod diecezjalny na pierwszego biskupa diecezji wrocławskiej. Jego konsekracja odbyła się w Zielonej Górze 11 kwietnia 1992 r. Pozostając proboszczem zielonogórskiej parafii, stąd sprawował swój urząd. W tym samym roku został wybrany na zastępcę biskupa Kościoła.

Bp Pośpiech włączył się aktywnie w ogólnokościelny nurt życia, budując, dzięki swojej otwartości i zrozumieniu, pozytywny obraz Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w katolickim społeczeństwie. Będąc przewodniczącym Polskiej Rady Ekumenicznej, doprowadził do zbliżenia między kościołami zrzeszonymi w PRE.

Oprócz sprawowania urzędu biskupa diecezji udzielał się w pracach różnych komisji synodalnych i kościelnych. Był członkiem Komisji Egzaminacyjnej Konsystorza i Synodu. Tłumaczył prace i artykuły ks. dr Marcina Lutra. Biorąc aktywny udział w wielu międzynarodowych sympozjach i konferencjach, reprezentował nie tylko Kościół, ale również kraj.

Dzięki jego staraniom diecezja wrocławska nie tylko mogła się ostać, ale również rozwijać i być przykładem autentycznej zgody, braterstwa i współpracy wśród duchownych. Angażował się śmiało w sprawy społeczne, będąc szczególnie wrażliwym na ludzkie potrzeby. Był niewątpliwie wyraźną indywidualnością. Jego stanowczość i zdecydowana postawa wobec aktualnych problemów mogły czasami onieśmielać, jednak ujmował zawsze wszystkich niezwykłą serdecznością, życzliwością i kompetencją. Starał się, aby każdy człowiek był dla bliźniego Chrystusem. W stanie wojennym uczestniczył w organizowaniu i przekazywaniu darów żywnościowych, farmaceutyków, artykułów higienicznych i sprzętu medycznego służbie zdrowia, instytucjom pomocy społecznej i domom dziecka. W tym też czasie opiekował się i wspierał duchowo internowanych ewangelików. Przez kilka lat aktywnie działał w Międzynarodowym Związku Głuchoniemych.

Za działalność ekumeniczno-charytatywną w 1998 r. został oznaczony Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski. W 2002 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra.

Dzięki staraniom ks. bp Józefa Pośpiecha można było doprowadzić do renowacji i odbudowy wielu obiektów sakralnych, a doceniając piękno muzyki, zezwalał na organizację koncertów i festiwali w kościołach diecezji.

Po 40 latach służby duszpasterskiej ks. bp Józef Pośpiech 30 czerwca 1994 r., ze względu na pogarszające się zdrowie, przeszedł w stan spoczynku. Zmarł nieoczekiwanie 18 września 2003 r. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze.

Bp Pośpiech należał do tych księży, o których się mówi, że dzięki zdolnościom, szerokim horyzontom myślowym i wewnętrznej potrzebie działania, nie mieszczą się w jednej parafii i jednej diecezji, lecz stają się własnością całego Kościoła. Swoim wiernym szafarstwem wzbogacają nie tylko swoje najbliższe otoczenie, ale i całą wspólnotę. Zapisują się na kartach dziejów Kościoła wyraźniejszymi zgłoskami aniżeli inni. Ich odejście staje się wydarzeniem, które odczuwają boleśnie nie tylko najbliżsi.

Kościół stracił znakomitego mówcę i kaznodzieję, który pracę traktował jako swoje powołanie, którego dobroć i szlachetność znaczą trwałe ślady służby zawierającej się w wyznaniu „Aby Chrystus był piękniejszy".

Mieczysław Wojecki

Potomkowie Greka Zorby

Po wojnie domowej w Grecji (1946-1949) około 150 tys. uchodźców politycznych (Grecy i greccy Macedończycy), głównie uczestnicy walk i ich rodziny, uciekło przez zieloną granicę do Albanii. Jugosławii i Bułgarii. Następnie statkami i pociągami ewakuowano ich do krajów obozu socjalistycznego. Późniejsze rządy greckie pozbawiły ich obywatelstwa własnego kraju. Do 1975 r. na zasadzie azylu politycznego jako bezpaństwowcy przebywali na emigracji.

W latach 1948-1950 i w okresie łączenia rodzin w latach 1950-1956 Polska przyjęła 13 134 uchodźców z Grecji, w tym 3934 dzieci. Przybyłych osiedlono na Ziemiach Zachodnich, ponieważ tu były rezerwy mieszkaniowe i istniała możliwość uniknięcia konfliktów społecznych. Najliczniejszą grupę uchodźców ulokowano w Zgorzelcu. Do dziś Grecy nazywają Zgorzelec swoją stolicą. Miasto rozsławia Nikos Rusketos, od 21 lat organizując Międzynarodowy Festiwal Piosenki Greckiej (jedyny poza granicami Grecji).

Brak miejsc pracy w Zgorzelcu w latach 1950-1952 spowodował osiedlenie części osób na wsiach, w których istniały państwowe gospodarstwa rolne, i w pobliskich miastach Dolnego Śląska.

Jako uchodźcy polityczni nie mieli możliwości decydowania i wyboru miejsca zamieszkania. Osiedlano ich na zasadzie polecenia partyjnego, gdyż wtedy takie były wymogi i potrzeby. W ten sposób ok. 3450 osób zdrowych fizycznie znalazło zatrudnienie w 75 gospodarstwach rolnych, między innymi znajdujących się w powiatach Żary, Żagań, Szprotawa, Kożuchów.

Praca na roli w uspołecznionych gospodarstwach byłego woj. zielonogórskiego była mało wydajna, więc państwu nie opłacało się zatrudniać uchodźców. Pozwolono im wyjechać do ukształtowanych ośrodków greckich w Polsce. I tak znaleźli się uchodźcy m.in. w Lubsku, Gubinie, Żarach Szprotawie, Kożuchowie, Nowej Soli i Zielonej Górze, gdzie znaleźli pracę w różnych zawodach.

Po ustabilizowaniu się osadnictwa greckiego w 1954 r. liczba uchodźców w byłym woj. zielonogórskim osiągnęła swoje maksimum – ok. 130 osób. Potem ta liczba z roku na rok spadała – w 2015 r. było tu ok. 35 Greków.

Od 1953 r. pobyt uchodźców na Ziemi Lubuskiej odznacza się zatarciem dotychczasowej tymczasowości na emigracji. Pojawia się coraz więcej kursów dokształcających, językowych i zawodowych. Wielu zielonogórskich Greków zdobywa średnie i wyższe wykształcenie. Wymienić tu należy m.in. Ch. Marku, D. Gargalisa, P. Chadzianiadisa, J. Siedersa, G. Wrojkosa, W. Siopowskiego, G. Dimitrowa, W. Paghunisa, A. Zogasa. Do nich należy Ewa Tor-Lachidu, po mężu Pilecka, która w 1967 r. na Festiwalu Piosenki Radzieckiej otrzymała nagrodę przewodniczącego CRZZ i Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Telemach Pilitsidis jest cenionym malarzem i poetą. Wszyscy wymienieni tworzyli inteligencję, której emigracja nie miała, przybywając na Ziemię Lubuską. Większość uchodźców pochodziła z ubogich terenów górskich Grecji.

W Zielonej Górze emigranci greccy zamieszkiwali w wielu miejscach, m.in. przy ul. Wyspiańskiego, Młyńskiej, Zamenhoffa, Ptasiej, Krętej, Świerczewskiego (dziś Kupiecka), Kingi.

Do 1957 r. załatwianiem spraw bytowo-socjalnych, zaspokajaniem potrzeb politycznych i kulturalnych zajmowało się Biuro Akcji Specjalnej Funduszu Wczasów Pracowniczych i Polskie Towarzystwo Przyjaciół Demokracji. Po 1957 r. opiekę nad ludnością grecką na Ziemi Lubuskiej przejęło Prezydium WRN. Od 1960 r. rolę wspomagającą pełnił Związek Uchodźców Politycznych z Grecji w Polsce im. Nikosa Belojannisa. Pierwszym przewodniczącym oddziału zielonogórskiego był Christos Andoniadis, pracownik Lumelu, ożeniony z Polką. Do końca życia w 1997 r. był on duchowym przywódcą zielonogórskich Greków. Wsparciem emigrantów było również Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej, którego zarząd główny miał siedzibę w Zielonej Górze.

W 1984 r. po wizycie premiera Grecji Andreasa Papandreu uległa zmianie nazwa organizacji *Związek Uchodźców Politycznych z Grecji w Polsce* na Towarzystwo Greków w Zielonej Górze. Za rządów Papandreu złagodniała polityka państwa greckiego w stosunku do uchodźców z lat 1946-1950. Pozwoliła ona niektórym Grekom z Ziemi Lubuskiej bezpiecznie powrócić do ojczyzny. Wyjeżdżali przeważnie ci, którzy mieli tam rodzinę gotową udzielić im pomocy, również w odzyskiwaniu majątku. Wracających z Polski traktowano jednak z lekką drwiną, bo przyjeżdżali z komuny. Nie honorowano tam małżeństw bez ślubu cerkiewnego, jak też nie przyznawano obywatelstwa urodzonym na emigracji dzieciom, jeśli nie zostały ochrzczone w religii prawosławnej. Ci, którzy pozostali na Ziemi Lubuskiej, nie wyjechali do Grecji dlatego, że mieli żony Polki i dobry zawód.

Członkowie Związku Uchodźców Politycznych z Grecji w Polsce im. Nikosa Belojannisa: (od lewej) Christos Andoniadis, Paulos Raptis i Grigoris Wrajkos z córką Jolą *fot. archiwum autora*

Maria Wasik

Z biblioteki do biblioteki

W Zielonej Górze zamieszkałam po studiach. Wcześniej zakładałam, że zostanę w Poznaniu. Przez pięć lat nauki przyzwyczaiłam się do miasta i bardzo je polubiłam. Tam było wszystko, co czyniło życie bogatszym – teatry, filharmonia, dużo kin i liczne imprezy. Pochodzę z Trzciela, małego miasteczka, więc tym bardziej ceniłam te luksusy.

O wyborze Zielonej Góry ostatecznie zadecydował fakt, że mieszkał tutaj mój starszy brat. Na początku lat sześćdziesiątych, po wojsku, podjął w tym mieście pracę, ożenił się i zamieszkał na Jędrzychowie. Przyjeżdżałam do nich na wakacje, czasem z rodzicami na święta, miasto nie było mi więc obce.

W Zielonej Górze brakowało ludzi z wyższym wykształceniem. Akurat szukano pracowników do biblioteki wojewódzkiej. Uznałam, że mając dyplom ukończenia filologii polskiej i Międzywydziałowego Studium Kulturalno-Oświatowego na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza, powinnam zrobić rozeznanie. Zgłosiłam się i tam w trakcie rozmowy sympatyczny zastępca dyrektora, Ryszard Saniewski zaproponował mi etat instruktora ds. pracy kulturalno-oświatowej i otrzymanie w perspektywie mieszkania. W rodzinnym Trzcielu, gdzie wówczas niewielu młodych kończyło studia, na wieść o moim miejscu pracy, pytano mnie ze współczuciem: „– Bibliotekarka? To po co się tyle lat uczyłaś?" Co innego, gdybym została panią profesor w liceum, o czym zresztą marzyłam. To było nobilitujące.

Zielona Góra w świecie bibliotekarskim wyrosła na giganta

Pierwszy rok pobytu w Zielonej Górze był dla mnie bardzo trudny. Nowe otoczenie, obcy ludzie, wynajęty pokoik w domu jednorodzinnym. Ludzie też byli nieco inni. W Poznańskiem ważny był porządek, obowiązkowość i przestrzeganie zasad. Tutejszych cechowały większy luz, fantazja i tolerancyjność. Ta mieszanka ludzi z różnych stron Polski była i jest nadal wartością dodaną Zielonej Góry.

Biblioteka zajmowała kamienicę przy ul. Jedności Robotniczej 57. Zbiory i działy rozlokowano w ciasnych pomieszczeniach. W piwnicy był słynny klub Zielona Gęś, gdzie na Czwartkach Lubuskich gościli prawie wszyscy znani pisarze tamtych czasów. Domy obok zamieszkiwali ludzie niezbyt zasobni, było też sporo osób pochodzenia romskiego. Budynek i teren biblioteki sąsiadowały z wytwórnią wódek – dużym, dobrze prosperującym zakładem. Po przeprowadzce do nowego gmachu, biblioteczną kamienicę przejęły „Wódki", dobudowując jeszcze do niej nowy obiekt.

Dyrektor Grzegorz Chmielewski chętnie zatrudniał młodych ludzi po studiach, wszyscy jednak szybko zmieniali pracę. Było wówczas w Zielonej Górze wiele ciekawych ofert. Z tego grona, to ja najgłośniej deklarowałam chęć odejścia. Miałam nawet propozycje zatrudnienia wraz z mieszkaniem. Ostatecznie jako jedyna zostałam w bibliotece. Patrząc wstecz uważam, że dobry los nade mną czuwał.

Po trzech latach pracy, co zbiegło się z ukończeniem Podyplomowego Studium Bibliotekarskiego na UAM, dyrektor zaproponował mi awans na kierownika działu instrukcyjno-metodycznego. Wyznaczył krótki termin do zastanowienia. W tym czasie przyjechał do Zielonej Góry mój Tata, no i cała rodzina zebrała się u brata na niedzielnym obiedzie. Pomyślałam, że skorzystam z okazji i poradzę się, co robić. Mówię więc, że mam do podjęcia ważną decyzję. Wszyscy przy stole się ożywili i pytają: „– Za mąż wychodzisz?" Odpowiedziałam, że dyrektor zaproponował mi awans. I w tym momencie radosne zainteresowanie rodziny się skończyło. Inne były priorytety, przede wszystkim zamążpójście. Propozycję dyrektora przyjęłam, tym bardziej że moja praca nadal związana była z bibliotekami terenowymi, udzielaniem im pomocy merytorycznej oraz szkoleniem zawodowym. W dziale niestety nadal zmieniali się ludzie. Nieco dłużej zatrzymały się Teresa Purolnik i Kasia Raczyńska. Wynajmowały lokum w domu naprzeciwko biblioteki, mieliśmy więc miejsce na spotkania i kultywowanie studenckich obyczajów, do których należało trwonienie czasu na grę w brydża. Nie było telefonów, a potrafiliśmy się skrzyknąć. Nie trzeba było uprzedzać o swoich odwiedzinach, po prostu pukało się do drzwi. Gorzej było z poczęstunkiem. Niedaleko biblioteki znajdował się sklep spożywczy, gdzie zawsze można było dostać paprykarz szczeciński i wędzone szprotki, których obieranie zabierało więcej czasu niż jedzenie. Żyliśmy bardzo skromnie. Obiady jadało się w stołówce Prezydium WRN. Podczas delegacji korzystaliśmy z restauracji GS-owskich, tanich i smacznych, nawet połowa z 18 zł diety starczała na posiłek. Pamiętam restauracje w Nowogrodzie, Torzymiu i Rycerską w Strzelcach Krajeńskich. Jeździliśmy w teren początkowo autobusami, później zdezelowaną nysą lub wojskowym ułazem, co pozwalało odwiedzić kilka bibliotek w jednym dniu.

Stopniowo wrastałam w Zieloną Górę. Moje koleżanki otrzymywały mieszkania, przybywało nam więc miejsc integracyjnych. W końcu i ja dostałam przydział na wymarzone M 2. A to za sprawą dyrektora wydziału kultury Prezydium WRN Józefa Prusia, który wielu młodym pomógł w zdobyciu własnego lokum. Mieszkanie było na tamte czasy przepiękne – w bloku spółdzielczym, 34 m kw., ładnie rozplanowane, z dużym balkonem. Nareszcie też mogłam zrewanżować się przyjaciołom za prawie pięć lat goszczenia mnie. Wśród nich byli przesympatyczni Waśkiewiczowie – Andrzej, poeta i krytyk literacki, i Ania Sobecka, dziennikarka radiowa. Spotykaliśmy się najczęściej na imieninach. Mimo że był to czas pustych półek, u nich cieszył stół suto zastawiony wyrobami masarskimi od rodziców Ani aż z Białostockiego. Budziło to za każdym razem mój zachwyt. Do tego był wino i gorące dyskusje. Wracały też wspomnienia. Andrzej często snuł opowieści o czasach swojej pracy w bibliotece wojewódzkiej na początku lat sześćdziesiątych. W tych wspomnieniach pojawiała się Ligia Koczorowska, zdaniem Andrzeja najlepsza kierowniczka działu instrukcyjno-metodycznego. „– Najlepsza" – podkreślał, patrząc na mnie, aktualną szefową tego działu, bardzo wymownie. Wybaczałam mu te i inne docinki, wszystko to przecież służyło ćwiczeniom językowym. Ja swoich gości podejmowałam parówkami w sosie pomidorowym, czasem bigosem. Co innego, gdy

z rodzinnego domu dotarły pyszne wyroby ze świniobicia. Wtedy była uczta. Znajomości i przyjaźnie z tamtych lat przetrwały do dzisiaj. Nadal do siebie dzwonimy, organizujemy spotkania, bo przecież te kilkadziesiąt minionych lat zobowiązuje, no i jest co wspominać.

Rok 1975 był w moim życiu nader szczęśliwy, bo jak już wspomniałam w marcu otrzymałam mieszkanie, a w czerwcu biblioteka przeniosła się do nowego gmachu przy al. Wojska Polskiego 9. Był to wówczas jeden z najnowocześniejszych obiektów w Polsce, zaprojektowany z dużym rozmachem, o powierzchni 7200 m kw. Na otwarcie, połączone z konferencją na temat budownictwa i projektowania bibliotek, zjechali bibliotekarze z całej Polski, byli też architekci. Uroczystego przecięcia wstęgi dokonał wicepremier i minister kultury Józef Tejchma. Zielona Góra w świecie bibliotekarskim wyrosła na giganta, a my jeżdżąc do innych bibliotek w Polsce smakowicie spijaliśmy pochwały. Nowe warunki pozwalały na funkcjonalne rozmieszczenie zbiorów, ich systematyczne wzbogacanie, odpowiednią ekspozycję i prowadzenie szerokiej działalności upowszechnieniowej.

Warunki lokalowe i kadrowe sprawiły, że w 1976 r. powołano w naszym województwie filię Centrum Edukacji Bibliotekarskiej i Informacyjnej. Dyrekcja znajdowała się w Warszawie. Powierzono mi dodatkowo funkcję jej kierownika. Sprawowałam ją 31 lat. W ramach centrum funkcjonowało Pomaturalne Zaoczne Studium Bibliotekarskie. Dawało kwalifikacje na poziomie średnim bibliotekarskim. Zajęcia w studium rekompensowały mi z nawiązką niezrealizowane plany pracy w zawodzie nauczycielskim i dawały wiele satysfakcji.

Nowy budynek książnicy przyciągał do pracy absolwentów uczelni i co ważniejsze pozostawali już na stałe. Dział instrukcyjny zajął przestronne pomieszczenie na drugim piętrze. Zespół powiększył się o nowych pracowników, a także doświadczonych instruktorów ze zlikwidowanych bibliotek powiatowych. Lubiliśmy swoją terenową pracę, mimo że samochody były kiepskie i stale się psuły, że marzliśmy w drodze i w pomieszczeniach kiepsko ogrzanych bibliotek, no i otrzymywaliśmy niewielkie pobory. Zaletą był jej charakter – kontakt z ludźmi i możliwość poznawania województwa, przepięknego krajobrazowo. Nawet któregoś razu usłyszeliśmy, że za oglądane widoki powinniśmy dopłacać do pensji. Prawdą jest, że w miarę możliwości staraliśmy się poznawać miejsca naszych delegacyjnych wyjazdów, wychodząc z założenia, że pracownik biblioteki wojewódzkiej powinien znać swój region. Od początku najbardziej urokliwym dla mnie miejscem był i jest Łagów. Swego czasu, po zwizytowaniu bibliotek w okolicy, udało nam się wygospodarować czas na popływanie łódką po Jeziorze Trześniowskim. Zmroziła nas jednak uwaga wiosłującego kolegi Andrzeja Grupy, instruktora ze Świebodzina, który rzucił od niechcenia: „– No i co by było, gdyby jutro w »Gazecie Lubuskiej« zamieszczono zdjęcie fotoreportera Bugiela podpisane Wczasowicze w Łagowie, a to my na delegacji?"

W 1984 r. zaproponowano mi kierowanie Biblioteką Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Podjęłam wyzwanie i dobrze się stało, miałam bowiem możliwość poznania interesujących ludzi, wielu z bogatym dorobkiem naukowym. Władze uczelni były bardzo przychylne bibliotece, co zaowocowało zmianą siedziby. Na początku lat dziewięćdziesiątych przeniosła się ona do nowo wybudowanego trzypiętrowego łącznika między gmachem dydaktycznym a rektoratem. Po przeprowadzce rozpoczęła się komputeryzacja zbiorów i to właśnie w bibliotece WSI powstawał program PROLIB, funkcjonujący potem w wielu polskich książnicach, głównie naukowych. Stworzyła go zielonogórska firma Max Elektronik pod kierownictwem inż. Adama Jeskego. Myśmy testowali program od strony bibliotekarskiej. Wkrótce tradycyjne katalogi zastąpiły komputerowe i rozpoczęto rejestrację wypożyczeń czytnikami z kodów kreskowych. Był to wtedy znaczący postęp.

Dziesięć lat później, po wygranym konkursie na dyrektora, wróciłam do biblioteki Norwida i wreszcie mogłam się realizować również jako polonistka. Efekty to: Lubuski Wawrzyn Literacki, oficyna wydawnicza Pro Libris, w której ukazało się ponad 100 książek lubuskich literatów, regularnie wychodzący kwartalnik literacko-kulturalny „Pro Libris". To także Czwartki Lubuskie i spotkania z polskimi i zagranicznymi pisarzami, a dla mnie możliwość bezpośredniego kontaktu i poznania wielu autorów.

Maria Wasik i literaturoznawca prof. dr hab. Czesław Dutka, 1997 r. *fot. archiwum autorki*

Miałam dużo szczęścia, bo przez 40 lat pracy zawodowej dane mi było służyć książce i czytelnikom, dla których stanowiła ona chleb powszedni. Do tego był to czas ważnych dla bibliotek zmian lokalowych, ustawicznych remontów, a także wdrażania nowych technik informatycznych. Co istotne, miałam wokół siebie ludzi, którzy realizowali się w pracy, mieli do niej wiele serca i zapału. Do tego byli dowcipni, lubili podróże i dobrą zabawę, a taka była zawsze na plenerowym Dniu Bibliotekarza oraz na seminariach wyjazdowych do bibliotek w Polsce, a zdarzało się, że za granicę. Sprzyjała temu życzliwość władz i atmosfera Zielonej Góry – miasta pięknie położonego, wygodnego do życia, z mieszkańcami otwartymi na działania instytucji kultury. Żyję w otoczeniu zieleni, w pobliżu lasu, a przede wszystkim mam tutaj wielu znajomych i przyjaciół. Czy można chcieć więcej?

Wysokiej klasy humanista

30 listopada 2017 r. zmarł najsłynniejszy zielonogórski proboszcz ks. Konrad Herrmann. Żył 88 lat.

Urodził się w rodzinie autochtonów, w Dzierżążnie koło Złotowa. W pobliskim Zakrzewie proboszczem był ks. Bolesław Domański, w latach 1931-1939 prezes Związku Polaków w Niemczech. Biografowie ks. Herrmanna podają, że był wychowankiem tego księdza. Czy przy pomocy ks. Domańskiego dostał się do polskiego gimnazjum w Kwidzynie leżącym wtedy w Prusach Wschodnich, tego nie podają. Zaraz po wybuchu wojny razem z nauczycielami i kolegami został osadzony w obozie w Tapiewie (dziś obwód kaliningradzki). W 1950 r. zdał maturę w Złotowie i dostał się do seminarium duchownego w Gorzowie. Siedem lat później ówczesny rządca ordynariatu bp Teodor Bensch skierował go na studia do Rzymu, ale władze państwowe nie wydały mu paszportu. Skończył więc teologię moralną na KUL-u i zapisał się na germanistykę na UAM-ie. Od 1963 do 1969 był proboszczem parafii Trójcy Świętej na gorzowskich Wieprzycach. Kolejne lata aż do przejścia na emeryturę to zarządzanie największą parafią w Zielonej Górze – 27 lat był jej proboszczem i dziekanem zielonogórskim.

Czym ks. Herrmann zapisał się w historii Zielonej Góry, najtrafniej określił jego następca na probostwie ks. Zbigniew Stekiel: To był wysokiej klasy humanista. Ks. Herrmann jako proboszcz zbudował dolny kościół z dwoma kaplicami, przełożył dach na kościele, utworzył dom katechetyczny. W pamięci wierzących i niewierzących zapisał się tym, że Zbawiciel, jak zielonogórzanie nazywają ten obchodzący w 2017 r. swoje stulecie kościół, stał się również salą koncertową. Wtedy, kiedy sala filharmonii nie mogła pomieścić wszystkich melomanów, wielkie koncerty symfoniczne odbywały się w Zbawicielu, gdzie jest perfekcyjna akustyka. Wszystkie międzynarodowe festiwale folkloru zaczynały się od mszy ekumenicznej w tym kościele. Przed świątynią jest kilka obelisków z tablicami pamiątkowymi organizacji nazywanych społecznymi. Po drugiej stronie ulicy, na wprost wejścia głównego stoją zamarli w kamieniu Robotnicy i pomnik Solidarności. Niedaleko kościoła jest pomnik Sybiraków. Zielonogórzanie zapamiętali, że w czasie stanu wojennego plebania Zbawiciela była miejscem wydawania posiłków, bezpłatnych leków, sprzętu rehabilitacyjnego. Przy udziale ks. Herrmanna powstała pierwsza w mieście apteka leków z darów dostarczanych głównie z zachodnich Niemiec. Proboszcz do tego stopnia zaprzyjaźnił się z mieszkańcami dawnego Grünberga, że niektórzy swój emerycki czas przeznaczyli na zbieranie darów i transportowanie ich do Zielonej Góry. Eckchardt Gärtner z Soltau twierdził, że na powrót zakochał się w Zielonej Górze. Jako filantrop i społecznik został wpisany do księgi honorowych obywateli miasta.

W tej księdze jest także ksiądz Konrad Herrmann – prałat honorowy Jego Świątobliwości, były kapelan Sybiraków i Bukowińczyków, żołnierzy Armii Krajowej, prezes oddziału Towarzystwa Walki z Kalectwem, Zasłużony Działacz Kultury...

Listy do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,
w drugim numerze interesującego periodyku „Na winnicy" trafiłem m.in. na artykuł autorstwa Sylwestra Woźniaka „Zanim się zaczęło Kabaretobranie" dotyczący życia studenckiego w Zielonej Górze lat 70. Chciałbym wnieść dwa drobne sprostowania, jako człowiek – a nawet, za przeproszeniem animator kultury – z tamtego okresu, żeby ewentualni badacze, historycy nie powtórzyli tych nieścisłości. Otóż, po pierwsze, organizacja studencka w latach 70. (a dokładniej chyba 1973-1980) nazywała się Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (a nie Zrzeszenie). Wiem, bo byłem członkiem. Ważniejsza sprawa dotyczy Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Debiutujących „Start", który odbył się w Zielonej Górze w 1976 r. Ale nie jako część Bachanaliów 76! To była ogólnopolska impreza SZSP „wędrująca" po różnych ośrodkach akademickich kraju, co roku odbywająca się w innym mieście. Środowisko zielonogórskie (w tym niżej podpisany) w 1976 r. było „tylko" realizatorem wydarzenia. Które odbyło się w lutym, od 26 do 29 lutego 1976 r. I na tym koniec, nie było żadnej kontynuacji tego festiwalu (w Zielonej Górze), jak sugeruje autor. Tak się składa, że byłem wówczas kierownikiem biura prasowego, mam wydawane wtedy (i redagowane przeze mnie) codzienne biuletyny „Startu". Służę detalami. A Bachanalia tegoż roku zaczęły się 20 maja (też posiadam informator). Zatem były to dwie niezależne od siebie imprezy. Dodam jeszcze uzupełnienie dotyczące klubów studenckich. Otóż na WSP oprócz Chochoła i późniejszego Zatem w domu studenta Tekturowiec na pl. Słowiańskim 12 istniał klub Raj-Piekiełko (1975-1980). No i był najlepszy w tamtym czasie w mieście U Jana na WSInż., a potem jeszcze obok powstał U ojca.

Eugeniusz Kurzawa

Panie Redaktorze,
Dawny cmentarz Żydowski przy ul. Wrocławskiej istniał dłużej niż, jak podano w podpisie pod zdjęciem, do tzw. nocy kryształowej („Została pamięć o dawnych mieszkańcach", nr 2/2017). W literaturze jest mowa o tym, że ostatni pochówek miał miejsce po 1945 r. Cmentarz został zlikwidowany w 1960 r.

Grzegorz Biszczanik

Sprostowanie
Włączona do Zielonej Góry w 2015 r. wieś Jany miała niemiecką nazwę Janny, a nie jak podaliśmy Jann.
Autora i czytelników przepraszamy.

Redakcja

Świątynie nierzymskokatolickie

fot. Alicja Błażyńska

Kościół ewangelicki Jezusowy – pl. Bohaterów

Kościół polskokatolicki pw. Matki Bożej Królowej Polski – ul. dr. Pieniężnego 25 A

Sala Królestwa Chrześcijańskiego Zboru Świadków Jehowy – ul. Jelenia 1 B

Kościół chrześcijan baptystów i zbór Emaus Kościoła Zielonoświątkowego – ul. Długa 8 A

Cerkiew prawosławna pw. Świętego Mikołaja Cudotwórcy – ul. Partyzantów 6

Cerkiew grekokatolicka pw. Opieki Matki Bożej – ul. Boduena 1

Renata Ochwat

Nelly i pozostali to dzieło Towarzystwa Miłośników Gorzowa

Nelly siedzi na ławeczce w centrum Gorzowa. Nieopodal na motorze siedzi Eddy Edward Jancarz. Jakby tak dobrze się rozejrzał po śródmieściu, to jeszcze parę rzeźb znanych gorzowian się znajdzie. Wszystkie to zasługa Towarzystwa Miłośników Gorzowa.

– Towarzystwo Miłośników Gorzowa działa w wielu kierunkach, na wielu płaszczyznach. Dla przykładu postawiliśmy szereg pomników i kolejne mamy w planach. Postawiliśmy postaci Szymona Giętego, Jancarza, Nelly, czyli porte parole pisarki Christy Wolf, poety Kazimierza Furmana, malarzy Jana Korcza i Ernsta Henselera. Poza tym kamień poświęcony pamięci synagogi w Landsbergu czy popiersie Zenona Bauera. Ale też zrobiliśmy wystawę Ernsta Henselera, wydaliśmy jego album. Opublikowaliśmy także listę stu najbrzydszych miejsc w mieście. Wiosną ukaże się ładne wydawnictwo, czyli sto najpiękniejszych miejsc w mieście. Braliśmy udział w kilkunastu akcjach sprzątania Gorzowa, pokazywaliśmy, co można zrobić, jak choćby przy ulicy Chopina, gdzie pracowaliśmy w kilkanaście osób, a miasto jeszcze zarobiło na sprzedaży złomu – opowiada Jerzy Synowiec, znany gorzowski prawnik i radny miejski oraz zasłużony społecznik.

J. Synowiec jest twórcą i głównym modus operandi Towarzystwa Miłośników Gorzowa.

Wszystko zaczęło się 1 maja 2004 r., kiedy to przy Galerii Park 111 został odsłonięty pomnik Szymona Giętego, czyli Kazimierza Wnuka, dziś zwany Krasnoludkiem, Koszałkiem Opałkiem lub Szymonem zwyczajnie. Rok wcześniej lokalna redakcja „Gazety Wyborczej" wyszła z inicjatywą upamiętnienia kolorowego i niepospolitego Szymona, który przez lata dostarczał radości gorzowianom. Dziennikarze „GW" do idei zapalili właśnie mecenasa Synowca, który wraz z przyjaciółmi i znajomymi w znaczny sposób sfinansował postawienie pomnika.

– I tak to się zaczęło. Pomyśleliśmy, że nie chodzi o akcyjność, jakieś szarpanie się na różne rzeczy. Postanowiliśmy zawiązać towarzystwo, trochę na wzór przedwojennego Towarzystwa Upiększania Miasta. Bo każdemu z nas na sercu to miasto leży – opowiada mec. Synowiec.

Dziś do towarzystwa należą prawnicy, biznesmeni, ale też i zwykli ludzie, którym Gorzów i jego wygląd jest bliski.

– Towarzystwo Miłośników Gorzowa ma na koncie kilkadziesiąt akcji wartych setki tysięcy złotych. I to bez jednej złotówki dotacji – mówi J. Synowiec.

Gorzowianie doceniają działania towarzystwa.

– Gdyby nie ci ludzie, to nie byłoby Zacharka – Pawła Zacharka, legendarnego przewoźnika przez Wartę. Nie byłoby znacznie więcej ciekawych rzeźbek. Poza tym oni są wiarygodni, to nie są anonimowe postacie – mówią gorzowianie.

I za każdym razem, na każde odsłonięcie kolejnej rzeźby czy akcję porządkowania stawiają się w miarę tłumnie. A towarzystwo zapowiada, że nie ma zamiaru spocząć na laurach, bo jak mówią członkowie, laury ich nie interesują.

fot. Daniel Jung

Edward Jancarz (1946-1992) – mistrz świata na żużlu w drużynie, przy ul. Chrobrego, proj. Andrzej Moskaluk, odsłonięty w 2005 r.

Kazimierz Wnuk (1914-1998) – kloszard i artysta uliczny, na ul. Sikorskiego 111, proj. Andrzej Moskaluk, odsłonięty w 2004 r.

Jan Korcz (1905-1984) – artysta malarz, na skwerze u zbiegu ulic Łokietka i Chrobrego, proj. Zofii Bilińskiej, odsłonięty w 2010 r.